

Andrzej Górny

## Stworzyć się od nowa – jedyne wyjście?

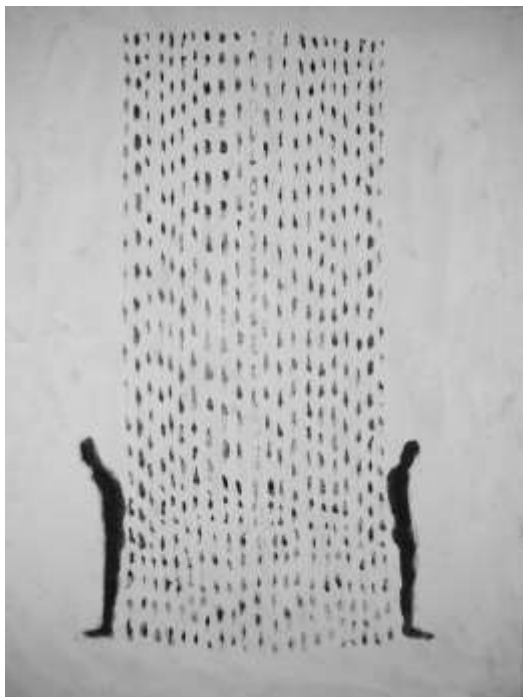
„Versus” *Rodrigo Garcii w Teatrze Nowym  
w Poznaniu.*

Taka myśl nęka nieodparcie po przedstawieniu w reżyserii Jędrzeja Piaskowskiego. Mamy oto przed sobą obraz ludzi uwikłanych konsekwencjami, jakie przynosi sprzężenie ludzkiej natury z cywilizacyjną dynamiką podświadomości i technologią naszych czasów (niczym konie biczem woźnicy). Teatr Nowy dał nam realizację sztuki Garcii trafiającą w samo centrum naszych problemów na dzisiaj i jutro (nawet jeśli mamy w powadze rodzime, wyborcze uniesienia).

Zacznijmy od pierwszej części przedstawienia, gdzie Matka, Ojciec, i Syn nie odnajdują się w sieci realnych wzajemnych związków, jakie tworzą rodzinę. Każde z nich usiłuje to swoje nagie bycie, że się jest – co pozostało im jako dar nie do pozbycia – określać z minuty na minutę, z godziny na godzinę; to znaczy doświadczać, tego bycia po swojemu, sposobem przez siebie stanowionym, choćby obserwacją z dystansu tego co wokół. I tak, Syn (Nikodem Kasprovicz), z nieodłącznym mikrofonem, powolny i skupiony wyłączenie na tym by nie umknęły realne ślady tego, co dzieje się w domowej przestrzeni, w istocie jednak uwalnia się w ten sposób od konieczności osobistego kontaktu, po prostu bycia z tymi, z którymi żyje na co dzień niby w rodzinnej wspólnocie. (A czy gdybym ja np. zgubił komórkę nagle na ulicy, nie kręciłbym się przez moment w miejscu, jak ta mucha na szybie, co nie wie w jakiej rzeczywistości naprawdę jest?!). Natomiast osobista, intymna potrzeba kontaktu – a trudno się tego zupełnie pozbyć – dopomina się w nim o swoje i dlatego zaspokaja ją czułą dbałością o zielone domowe roślinki. Z kolei Matka (Antonina Choroszy) wędruje, czy raczej spaceruje, po rozległym wnętrzu, gdzie nic jej konkretnie nie zainteresuje, a spojrzenie niejako się tylko ześlizguje

po wszystkim, nawet gdy tu i ówdzie zatrzyma się na chwilę. Kiedy wreszcie siada do stołu rodzinnego jak do rytuału, który sobą stanowi – zastyga, nie oczekuje niczego, kiedy reszta siądzie. Można by to nazwać aktem medytowania nicości, przydając jej znaczenia i w ten sposób dostraja się do pustki między nimi. I wtedy wbrew rzeczywistej sytuacji, ich zachowanie jest w pełni aktem wolnego wyboru. Wyboru innej rzeczywistości i zgody na nią, co pozwala unikać konfliktu, wybuchu. Nie sprawdza się to jedynie w przypadku Ojca (Paweł Hadyński). Jemu natura odebrała już szansę wyboru tej pustki, tego bycia w nicości, w co tak sugestywnie i przejmująco jesteśmy wprowadzani aktorstwem Matki i Syna. On jeden porusza się wyłącznie na wózku inwalidzkim, z aparatem do oddychania i niczego już nie chce, a przede wszystkim nie może wybierać. Kiedy ma obok Matki sięść do stołu, ręką odrzuca krzesło raz i drugi, zawsze brutalnie, z wściekłością i pozostaje w swoim wózku sam, z przeznaczonym mu sposobem bycia, na który został skazany przez los. Jest i chce być poza rytuałem wspólnego stołu. Nie daje się w nic włączyć; to jedyne, co może dać od siebie, by siebie poniekąd tworzyć. Ale dlatego w każdym ruchu swego wózka, w geście i milczeniu, w swoim znieruchomieniu i w poruszeniach obezwładnionego ciała – stwarza zagrożenie, wydaje się, że w każdym momencie może stać się coś strasznego. Nie jest się pewnym w ani jednej chwili, co on zrobi, co się stanie. Wspaniała rola Aktora.

Swoista wiwisekcja rodziny w sztuce Garcii staje się w przedstawieniu przełożeniem na coś znacznie potężniejszego i znaczącego, niż tylko przypadłość, zdarzająca się na podobieństwo choroby, czy owej rany psychicznej, jak można to nazywać. Ujawnia to druga część przedstawienia dobitnie z wyjątkową, uderzającą mocą. Oto pęka rytuał milczenia przy stole, to już po prostu nie wystarcza do obrony siebie przed świadomością, że ich więzi rodzinne zaniknęły, czy wręcz nie istnieją. Cokolwiek byśmy w swym byciu mieli odkrywać, nie pomoże to przewyższać innych, nowych zupełnie przytłaczających rytmów życia – jakimi ono obecnie jest przeniknięte, nimi zmajoryzowane i tym samym radykalnie przeobrażane; co dyktuje



swoje wymagania i trzeba wobec tego jakoś zaistnieć. Rzeczywistość staje się o wiele bardziej potężna i tym samym zachłanna na człowieka. Właściwie na podobieństwo owego mitycznego Moby Dicka, co płynął wprost gotowy pochłonać statek wraz z załogą. Ale w XXI wieku nie ma, niestety, dzielnego kapitana Ahaba gotowego totalnie za wszystko i wszystkich przeciwstawić się obcej człowiekowi mocy, choć z niego po części się wywodzącej, co nieodwołalnie uwodzi na pokuszenie. Nie musi go wcale zresztą być, wystarczy, aby owa trójka rodzinna mogła się wyrwać ze swego na poły somnambulicznego bycia, i dać się pochłonać przez ten obraz niekończącej się oferty rzeczywistości, pulsującej absolutnie odrębnym, wręcz nieludzkim już życiem. Widzimy oto na wielkiej tylnej ścianie, niepodzielnie panujące nad sceną, wkomponowane w scenografię video. Patrzymy na ogromny ekran, gdzie pomnażają się błyskawicznie i niepowstrzymanie rzędy cyfr w tym obrazie potęgującej się bez przerwy mocy obliczeniowej współczesnej technologii. To tak, jakby szukano w tym niekończącym się biegu liczb ostatecznego tryumfu zerojedynkowego trybu przekształcania w inny układ, który chciałby zawrzeć w sobie, czy raczej przetłumaczyć na swoje, wszystko co istnieje, a na pewno, co człowiek sam chciałby być zdolny objąć w końcu swą wiedzą. Cały czas jednak jednocześnie widzimy, jak wijąc się na długiej łodydze, nakłada się na to stale rosnący czerwony kwiat z pyszną urodą swego kielicha. Jak długo? – pytam, patrząc na tę upartą, zdawałoby się zwycięską żywotność przyrody, bojąc się dopowiedzieć wszystko w swym pytaniu.

Ten zastrzyk szczególnego rodzaju witalności (jeśli można tak nazwać ekspresję nieprzyrodniczej przeciw materii), jaką zyskuje moc obliczeniowa współczesnej technologii, uderza wreszcie w Matkę Antoniny Choroszy. Pęka teraz mur obronny samotności, jaki ona sobie stworzyła i wynagradza nadatkiem energii słownej to uprzednie milczenie, kiedy trwała osadzona w samotnym byciu, jak w dobrze okopanej twierdzy. A oto teraz na naszych oczach zostają z niej jedynie strzępy wypowiedzianych kwestii, wyrwanych z różnych dialogów całego życia, także szczątki nie tylko myśli, lecz zachowań, gestów – a Ojciec, można powiedzieć, stara się również na swój sposób jej wtórować. Matka jest na naszych oczach, jak jeden wielki krzyk rozdarcia bezsilnej ludzkiej obecności. Nic jej człowieczej autonomii już nie obroni.

Ten przejmujący w wykonaniu aktorskim Antoniny Choroszy obraz człowieczej dezintegracji, to tak naprawdę wołanie do nikogo i – o nic. A więc to także uwolnienie się od zobowiązania, aby być jakim się jest, było, czy jakim należałoby być. Ta dezintegracja osobowości otwiera oto pole nieoczekiwanej wolności od zobowiązań i ograniczeń także. Może być teraz nasza postawa darem piekła czy nieba, za co nie trzeba być nikomu wdzięcznym, czy zobowiązanym. Więc możesz być w każdej chwili dobry i zły; wściekły i słodki; brutalny i czuły, wszystkie te zachowania, czy nawet zarysowujące się postawy, mogą być nagle człowiekowi bliskie, podejmowane od razu i bez namysłu, bez specjalnego trudu, czy wysiłku. Widzimy, że to już Syn Nikodema Kasprowicza, to on, staje na proscenium, przed nami blisko i nieoczekiwanie, dzięki swemu dotychczasowemu

szczególnemu zdystansowaniu, lekko i niezobowiązująco, otwiera przed wszystkimi szansę na nową rzeczywistość; mówi i poniekąd już prezentuje absolutnie przeciwstawne sobie możliwe swe zaistnienia wobec innych. Możesz oto przechodzić gładko i zręcznie od jednych do innych, wręcz obcych sobie, zachowań – i to płynnie, bez najmniejszego oporu i jakichkolwiek zahamowań. Staje się człowiek na powrót tym, od którego bardzo dużo może zależeć, ale to dlatego, że jest już właściwie istotą nieobliczalną. I tak dzieje się przecież na scenie na naszych oczach. Dlatego Syn Nikodema Kasprowicza wychodzi na proscenium blisko, do nas. I bluzga, i zaraz mówi ciepło – jak do tych, z którymi jest w jak najlepszym kontakcie, a za moment znowu, jak do tych, których ma dość lub wręcz pogardza, czy nawiązuje kontakt, może trochę od niechcenia, żeby załagodzić, albo w istocie zdezorientować. Nie ma już żadnych znaczących rozróżnień, podziałów, żadnego trwałego wartościowania, poza chwilą kiedy się wypowiada te swoje myśli czy wyraża emocje. Jest w tej jego relacji z nami potok wszystkiego, co możliwe między ludźmi. Więc pozostaje jedynie pytanie, jak to wszystko składa się w człowieku tak prawie jednocześnie, jak rzeczy tyle samo warte? Jak w takim razie naprawdę jest między nami? Albo raczej, jak po prostu z nami jest? Kim się staje człowiek?

Ale może nie jest tak źle. Może przesadzamy? Syn Nikodema Kasprowicza jest przecież tak blisko, przy samej rampie, stoi spokojnie, wręcz przyjaźnie jeszcze momentami na nas spogląda, pewno żeby wszystko wyciszyć, uspokoić. A więc jakby coś jednak ukrywał, nie chciał dopowiedzieć do dna i pewno dlatego tak się powstrzymywał i przerywał swe wybuchy, kiedy się w nim niezauważalnie przełamowało. I zostawia nas teraz z tym pytaniem, którego nie łatwo jednak sobie wprost zadać, a co dopiero na nie odpowiedzieć. Bo jaka byłaby ta ostateczna odpowiedź?... Może jednak lepiej nie?

„Versus” Rodrigo Garcii w Teatrze Nowym w Poznaniu: Przekład: Agnieszka Stachurska. Reżyseria: Jędrzej Piaskowski; scenografia i kostiumy: Weronika Ranke (Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu); muzyka: Wojciech Urbański; wokół: Maria Kozłowska; video: Maria Nawrot; realizacja video: Jan Kęszycki; inspicjent: Józef Piechowiak. Premiera: 16 października 2015

---

**Andrzej Górny (1933)** – polski pisarz, architekt, krytyk literacki i teatralny. Członek Polskiej Akademii Filmowej. Uczestnik zrywu Poznań 1956, ranny w wyniku postrzału, kombatanę, członek Związku Powstańców Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Debiutował w 1962 r. opowiadaniem „Ślub”, opublikowanym w „Twórczości”. Autor opowiadań „Ślub i inne opowiadania”, „Gwiazdo, przysłaś”, powieści „Samobój” (2007) i „Skazany” (2012) oraz reportaży, które pisał dla czasopism „Nurt” i „Współczesność”. W przygotowaniu powieści „Idź, tam gdzie jesteś”. W latach 1968–1978 był kierownikiem literackim w Teatrze Lalki i Aktora „Marcinek”. Współautor scenariusza do filmu „Poznań 56” w reżyserii Filipa Bajona.

Autor zaprasza na swoją stronę internetową [www.andrzejgorny.pl](http://www.andrzejgorny.pl)

## O twórczości Grażyny Kieleńskiej

### Katarzyna Jankowiak-Gumna

Tematyka malarstwa Grażyny Kieleńskiej zogniskowana jest wokół człowieka. Pojawia się on na każdym obrazie; sprowadzony do uproszczonego znaku, pozbawiony cech osobniczych, płci, wyrazu twarzy, gestów, emocji staje się figurą znaną z literackich tradycji Everymanem, Każdym. Grażyna Kieleńska zajmuje się tym, co inspirowało wielu artystów: kondycją człowieka. Powyższa konstatacja brzmi wręcz pompatycznie – ale tak jest w istocie. Artystka operuje jednak niezwykle subtelnym, pozbawionym dosłowności językiem, który skutecznie pozbawiając obrazy pompatyczności, daje wyjątkową siłę wyrazu. W przedstawieniach nie znajdziemy całego dramatu ludzkiej egzystencji, gwałtownych emocji, lęku, walki. Z reguły niewielka, schematyczna figura człowieka pozostaje statyczna, bierna. Czasami stoi pomiędzy ciężkimi, zwalistymi bryłami (skały?), wśród drobnych kresek (deszczu?), ostatnio najczęściej wpisana jest w otoczenie abstrakcyjnych kształtów koła, owalu, przerywanej bądź ciągłej linii. I właśnie ten kontekst niemal geometrycznych form decyduje o szczególnym, nieuchwytnym napięciu w kompozycjach Grażyny Kieleńskiej, o podskórnym niepokoju, jaki wywołują. Z ich po mistrzowsku stworzonej iluzji statyczności i spokoju nigdy bowiem jednoznacznie nie wynika, czy cieniutka linia to stabilne oparcie, czy krawędź, na której się z trudem balansuje. I czy czerwona kula to błogosławieństwo (słońce?), czy może potencjalnie miażdżące zagrożenie...

### Grażyna Kieleńska

\* \* \*

zniknęła jedna kuleczka  
zmieniło się znaczenie dźwięku  
inspirują mnie obrazy  
przerwane objęcia  
tych kilku podstawowych znaczeń  
kula płacze

\* \* \*

kiedy bumerang leży  
a owoce parują  
zapachy uśmiechają się  
a deszcz jest smutny i rozczarowany  
kiedy nie ma na czym spocząć

### Wirginia B.Kubiś

Grażynę Kieleńską interesują rzeczy, które w swojej zmienności są niezmiennie, narzucone, na które nie ma się wpływu; poddaje się logice kosmosu. Nie przytłacza jej jednak świadomość zdeterminowania.

Tworzenie jest dla niej grą emocjami. Malowanie staje się zapisem przy pomocy języka wypracowanych znaków (kolumna, ziarno kawy, linia przerywana, spirala, koło, księżyc i in.) wyrażonych środkami malarskimi. Posługuje się symetrią lub jednością przeciwieństw, dzięki którym stara się podkreślić znaczenie równowagi.

Z czasem jej sztuka staje się minimalistyczna, co nie pozbawia jej głębi. Uproszczenia powodują, że rysunek z roli podrzędnej, pomocniczej zaczyna dominować nad malarstwem.

Podmiotem zainteresowań Grażyny Kieleńskiej jest człowiek. Jego pozycja w przestrzeni obrazu podporządkowana jest jednak otoczeniu; jest elementem układu. To człowiek, który ani nie próbuje wyrwać się ze swego osaczenia, ani nie demonstruje podległości. Wydaje się być świadomym swojego miejsca. To człowiek, który zatrzymał się gdzieś w drodze, leży lub stoi w bezruchu albo skulony siedzi z podkurczonymi nogami – jak ktoś, kto chciałby urodzić na nowo. Bezruch nie jest jednak wynikiem zaniechania aktywności, ale czasem na przemyślenia. Czuje własne ograniczenia, a jednocześnie nieograniczoną wolność wyboru.

Czasami słowo jest dla niej ważniejsze niż obraz, zawiera dźwięk i rytm, wypełnia przestrzeń, konstituuje wizję.

\* \* \*

jak w ogrodzie  
roztopione ziarenka snu  
przykuły moje rozżarzone stopy  
do podłoża które na skraju niebieskiego  
pokoju  
powiedziały  
ciszej

\* \* \*

niektóre słowa są takie stare  
niektóre idee jak zwykłe kamienie  
w jednym z nich jest łaska

## Zbigniew Masternak

### Orkan i ja

Pamiętam dobrze wieczory, kiedy drącym pierze i słuchającym z zapartym tchem kobietom, moja matka czytała kolejne fragmenty „Komorników” Władysława Orkana. Cienie rąk na białonych ścianach poruszały się bezszelestnie, a wzruszenie razem z puchem wirowało pod sufitem. A kiedy do domu powracał syn Józek, zastając trupa zmarłej z głodu i wycieńczenia matki, dłonie kobiet zastygały. Nieruchome stawały się także cienie na białej ścianie. Słowa biegały po nerwach, pozostawiając wzruszenie, które tkwi we mnie do dziś. I właśnie ta pamięć utrudnia mi pisanie, bo zupełnie nie mogę się zdobyć na dystans będący niezbędnym elementem krytycznego obiektywizmu. Dlatego ten tekst z założenia nie będzie nawet próbą obiektywizowania literackich dokonań Orkana, raczej reportażem z wyprawy w jego rodzinne strony.

Podążam drogą, której niezmienną zagwarantowana została zdumiewającą trwałością słowa pisanego. Droga wiedzie przez wieś, która utkwiała w literaturze, więc wieś nieśmiertelną. Stąd ledwie 20 minut marszu do Orkanówki. To już inne Koninki od tych, które znał pisarz. Nieopłacalne rolnictwo zastąpiła teraz turystyka. I migracja zarobkowa – głównie na Wyspy Brytyjskie i do Skandynawii. Nie ma już lichych chatynek z „Komorników”, są wystawne pensjonaty. Koninki to obecnie baza turystyczno – wypoczynkowa i wypadowa na całe Gorce.

Nie mniej od tego, co widzę, obchodzi mnie to, co zapamiętałem z książki Orkana. Z tych wieczornych lektur przy darcu pierza. Czy ten szacunek dla pisarza mógł wyrzucić na mnie literacki wpływ? W końcu postąpiłem prawie tak samo jak on – w swym debiucie powieściowym „Niech żyje wolność” opisałem rodzinny Piórków, wieś położoną w Górach Świętokrzyskich. Miejsce, które znałem najlepiej. Szukałem sposobu jak oddać język i wydarzenia – inspirację znalazłem w „Komornikach”. Nie twierdzę, że to najlepsza powieść Orkana – literacko cenniejsza jest dwutomowa „W roztokach”. Ważne są dla mnie także „Listy ze wsi”. Ale bez wątpienia „Komornicy” to moja ulubiona książka w dorobku Dumaca z Poręby.

Rzadko się zdarza, żeby już pierwsza powieść pisarza była tak dojrziała jak „Komornicy”. Może dzięki temu, że wcześniej były tomy poezji, jak również próby nowelistyczne. Niektórzy krytycy uważają „Komorników” za szkic do dwutomowej powieści „W roztokach”. Uważam to twierdzenie za krzywdzące – debiut powieściowy Orkana jest bytem samoistnym. Wszedł Orkan na literacki bankiet bez tremy – w odróżnieniu od innych synów chłopskich nie obracał czapki w rękach, nie spuszczał wzorku, by poddańczo milczeć. Źródło jego siły i odporności na kompleksy należy szukać właśnie w niezwykle silnym zakorzenieniu w chłopskiej kulturze oraz w wierze w jej bogactwo i posłannictwo.

Epopeją chłopską dzieła Orkana nazwać nie możemy, to raczej szkic, szkic jednak samodzielny. Można stwierdzić, że autor „Komor-

ników” za swój właściwy wymiar uznawał opłotki swojej wsi i okolicy, poza które wychylać się nie miał potrzeby, jeżeli już – czynił to incydentalnie. W jego debiucie powieściowym widać to najwyraźniej. Wydaje się, że do sporego krytyczno-literackiego odzewu, jaki miała ta książka, przyczyniło się zastosowanie w narracji środków wyrazu bliskich reportażowi. Pozorny dystans autora, oszczędna literacka ornamentyka oraz dbałość o realia – łącznie z językiem – przyczyniły się do spotęgowania sugestywności przekazu.

Największym atutem powieści była jednak jej aktualność społeczna. „Komorników” uznać należy za dokument bardzo ważnego dla wsi momentu. Przedstawia bowiem Orkan okres wiejskiej degrengolady przełomu XVIII i XIX wieku. Obecnie rzadko wspomina się o zastraszającej nędzy panującej wtedy na polskiej wsi, bez względu na to, pod jakim była zaborem. Nie mówi się o częstych przypadkach śmierci głodowej. Nowe realia sprawiały, że dawna wspólnota nie wytrzymała próby czasu, a zmiana stosunków ekonomicznych i metod gospodarowania narzucały nową mentalność. Uwidoczniło się wiejskie rozwarstwienie rozluźniające dotychczasową spójność. Zaborcy wbijali ekonomiczny klin w gromadę, doprowadzając do skruszenia włościńskiej solidarności, sprowadzili wzajemną nieufność i zawiść.

„Komornicy” to książka o chłopskiej biedzie – jednak na przekór swej treści, aż bucha optymizmem krzepy chłopskiej. Józkwie i inni wyruszali do Pesztu, tak jak obecnie wyruszają na Wyspy Brytyjskie i do Skandynawii, żeby poprawić swój byt. Jest w tej nędzy jakaś nadzieja cały czas odczuwana przez czytelnika. Może kryje się w budowie zdań, w jędrności języka. W przypadku Orkana podziw może budzić wielka dyscyplina słowa. Zwłaszcza że nie chodzi przecież o kogoś zasiedziałego w pisarstwie, ale o literackiego homo novus. Świadczy to o sporej skali talentu autora oraz jego dużej intuicji twórczej. Dowodem niech będzie fakt, że brak formalnych ornamentów wcale nie zubaża sugestywności przekazu, ale wręcz go wzbogaca. Zadziwia także swoisty obiektywizm narracyjny, trzymanie emocji na uwierzy, odczucie wszelkich nieistotności. Takie zabiegi zbliżają powieść Orkana do najlepszych partii prozy Emila Zoli. Z pewnością zupełnie nie przystaje to do młodopolskiej maniery literackiej, z którą krytykom zdarza się łączyć twórczość Orkana. Pisarz jawi się jako przypadkowy obserwator, który opowiadając o widzianych sytuacjach niczemu się nie dziwi i zachowuje do wszystkiego dystans. Czytelnik i tak czuje, że to tylko obiektywizm pozorowany – nie ma się wątpliwości, po czyjej pisarz stoi stronie. I nie ma znaczenia, czy owa formalna i emocjonalna wstrzeźliwość była świadomym założeniem, czy też po prostu intuicją. Orkan nie idealizuje wsi. Wbrew ówczesnej modzie brak u niego patetycznych opisów pejzażu i zwyczajów, nie ma filozoficznych draperii. Co prawda znaleźć można fragmenty poświęcone opisom przyrody wsi, ale ich rozmiar ograniczono do koniecznego minimum. Wychodzi na to, że dla Orkana w „Komornikach” znacznie ciekawszy był pejzaż ludzki.

Orkan łowił pierwowzory do swej powieści spacerując przez wieś Koninki, którą teraz właśnie przemierzam. Rozmyślałam o Chybowym trzcu. Toż ja także mam takie „traczowe” opowiadanie w tomie „Niech żyje wolność”, nazywa się „Niebo, krew i wino”. Tyle że u mnie to bardziej struktura

zamknięta – opowiadanie, które jest autonomiczne względem reszty rozdziałów-opowiadań, może być czytane oddzielnie. Kiedy je pisałem, w głowie miałem „traczącą” historię Orkana. U mnie takim Chybą Zładyszkiem jest lokalny biznesmen o ksywie Jezusek, dwulicowy baca, który z czasem został wójtem. Chybowie Zładyszki rodzili się także na wsi świętokrzyskiej.

Interesujący są także bohaterowie dalszego planu. Na przykład Błażek.

„Prusak się zbroi – ciągnął Błażek – Francuz gotowy, ino czeka. Italjanin też pudzie, bo jakże? Skoro zaczną, to wszyscy razem” – takie przemyślenia snuje w tartaku. Czyż nie pobrzmiwa w tym późniejsze zdanie z „Wesela” – „Chińczyki trzymają się mocno”?

Chłopi mówią z chłopska, z góralska. I w tym tkwi niezmienna moc tej prozy – w dialogu, w samej opowieści. Orkan odważył się pisać gwara, bez niego nie byłoby „Konopielki”, nie byłoby Wincentego Burka, Mariana Pilota i Józefa Ozgi-Michalskiego. W czasach, kiedy gwara ulega gwałtownemu zanikowi, a w twórczości literackiej napotykałyśmy jedynie jej szczątki, gwara Orkana objawia się w tym pełniejszej krasie swojej słowotwórczej, składniowej i frazeologicznej pomyślności.

Warto tutaj wspomnieć o regionalizmie w twórczości pisarza. W sensie formalnym zdawać by się mogło, że sprawa jest oczywista. Góralska scenografia jest jak adres na widokówce. Jednakże oryginalność regionu nie stanowi tu celu samego w sobie. Nie pokazuję Orkana w sposób zaplanowany etnograficznej odrębności. Jest to tło konieczne do przedstawienia zdarzeń i wartości, które pozostałyby nimi w każdej innej scenerii. Twórca ma doń stosunek uczuciowy, a nie naukowy. Nie trzyma się zresztą kurczowo góralskiego folkloru. Odnaleźć bowiem można zarówno w jego nowelach, jak i poezji, trawestacje znanych wcześniej literacko motywów.

Kiedy po latach przeczytałem „Komorników” Orkana, zrozumiałem, że mogę znaleźć tutaj wskazówkę, jak wyrazić to, co chciałem napisać. Pracując jednak nad „Księstwem. Trylogią młodzieńczą” obawiałem się, że partie, w których przytaczam wiejską mowę (raczej nie jest to żadna gwara), najszybciej się zestarzeją. Był to jednak zabieg szczęśliwy. „Wiejskie” dialogi dobrze zabrzmiały w filmie „Księstwo” (2011), ekranizacji mojego debiutu, której dokonał piewca prowincji, Andrzej Barański.

Czyniono pisarzowi zarzut, że odmalował wieś zbyt czarnymi barwami. Ale tak pisać mogli chyba tylko ci, którzy tej wsi zupełnie nie znali. To nie była młodopolska chłopomania, a życie w całej jego nędzy. Powieściopisarz taki jak Orkan był nie tylko reporterem opisującym stan chwili bieżącej – potrafił spomiędzy zdarzeń wybrać fakty najbardziej charakterystyczne i uwydatnić niezmiennie cechy odtwarzanych zjawisk, odrzucając cechy drugorzędne, nie wywodzące się z przyczyn wewnętrznych, lecz wywołane przez nacisk zewnętrzny. Minęło sto lat i kiedy ja opisałem swój Piórków, także podniosły się głosy, że przesadziłem, przerysowując postacie i konflikty. Moja książka nie podobawała się zwłaszcza lokalnym politykom. Zapraszałem ich, żeby przyjechali na chwilę pod jedyny sklep monopolowy we wsi i zobaczyli tę całą nędzę, ale nie chcieli. Warszawscy krytycy też mi nie dowierzali, woleli

klecić w swych gabinecikach recenzji o moim czarnowidztwie.

Idę koło kapliczki, która

ponoć zatrzymała kiedyś epidemię cholery. Mija mnie grupka kolarzy. Koninki to obecnie jeden z najbardziej znanych ośrodków kolarskich w Polsce. Na stokach Tobołowa i Tobołczyka znajdują się kilka tras zjazdowych dla kolarzy górskich, trenujących zjazd na szybkość.

Wiatr kastruje drzewa z resztek liści. Porudział Turbacz, wbijający się klinem w rzeczną dolinę.

- „E, tak ta, nie najgorszy... Jeździliśmy pod Tróbacz, ku samemu wierchu. Droga zła, niech Bóg broni!...” – przypomina mi się fragment z powieści Orkana, kiedy spoglądam ku szczytowi góry, która obecnie nazywa się Turbacz. Czy pisarz wchodził na jej szczyt, by spoglądać zeń na Koninki? Czy to tam obmyślał swoją powieść? Nie jest to książka wymyślona za biurkiem. Ta powieść sama się Orkanowi napisała. Podobnie było z „Listami ze wsi”, z „Drogą Czwartaków”. Nie chciały się Orkanowi pisać dramaty. Nie chciała się pisać „Czantoria”, powieść konkursowa. Od razu widać, co pisarz widział na własne oczy, o czym zasłyszał, a co próbował zmyślić. Mam podobną wadę. Interesuje mnie tylko życie prawdziwe w różnych jego odsłonach. Zmyślanie jakoś nie bardzo mi wychodzi. I z tego jeszcze powodu Orkan jest mi bliski.

Obecnie powieść zdaje się nieco anachroniczna w formie, ale jej wpływ na narodziny nurtu chłopskiego w polskiej literaturze trudno przecenić. Dyskusja o twórczości Orkana i jej oddziaływaniu na współczesnych autorów nie jest łatwa, w dodatku ta twórczość chłopska zupełnie zanika, tak jak przestaje powoli istnieć chłopstwo jako warstwa społeczna. Wolę pisać o wpływie Orkana na moje własne pisanie, bo tutaj jestem go pewien. Planowałem początkowo napisać o wpływie Orkana na poezję Józefa Ozgi-Michalskiego, na prozę Stanisława Piętaka czy nawet dramaty Edwarda Redlińskiego. Ale pogrzebałem w pamięci i stwierdziłem, że wolę złożyć hołd „Komornikom”, bo od nich zaczęło się moje własne pisanie. Oczywiście, po „Komornikach” przyszedł czas na inne lektury autorstwa Dumaca z Poręby. I chociaż z czasem dostrzegłem w tej twórczości swego rodzaju niespełnienie, Orkan na pewno pozostanie moim mistrzem. W 2012 roku otrzymałem nagrodę jego imienia – za cykl „Księstwo”, który odradzał nurt chłopski w literaturze. Odbierając nagrodę z rąk Tadeusza Skoczka, myślałem o swojej matce niby o Margośce, której Józek wyruszył w świat za pracą. Tamta sprzedawała ostatnie kozy, a moja matka wyprzedawała krowę po krowie, żeby starczyło na moje studia – najpierw prawnicze, a potem dziennikarskie. Nie skończyłem ani jednego ani drugiego, dyplom otrzymałem dopiero w Krakowskiej Szkole Scenariuszowej. Kiedy wyruszałem z domu za lepszym bytem, matka żegnała mnie jak Margośka – z łękiem, ale i nadzieją. Jej los był podobny – nie doczekała mojego sukcesu ani wnuka, zmarła na raka, w nędzy, nękana przez... komorników. Tych z praktyką prawniczą.

## Masternakowe życiopisanie

Kiedy patrzę na Zbyszka, widzę w nim kumpla. Nie pisarza czy scenarzystę, człowieka dotkniętego popularnością, lecz towarzysza dziecięcych wypraw nad rzekę, zabaw na podwórku czy w lesie, w Indian lub rozbójników. Uśmiech tego człowieka zmienia oblicze, nadając mu chłopięce rysy twarzy. Dobry pisarz nigdy nie zabija w sobie dziecka, bo ciekawość świata w kwiecie wieku, czyni go wartym poznania od początku. Zbigniew Masternak z pełnią dojrzałych spostrzeżeń zgłębia zagadkę przeszłości, czasu dorastania wśród świętokrzyskich legend. Jego „Księstwo” to w założeniu wieloksiąż powstający w tej chwili. Dojrzewa i osiąga wiek starczy wraz z jego autorem, który nie planuje zejścia z kart swojej powieści przed osiemdziesiątymi urodzinami. Ten optymizm zaraża czytelnika swą żywotnością i bogactwem przygód.

Życiopisanie – to określenie użyte przez Leszka Onaka, który nazywał w ten sposób prozę Zbigniewa Masternaka, jednak nie można dosłownie odnosić tego miana do powieści. Są pewne elementy zahaczające o życiorys autora, ale daleko im do ściśle pojętej biografii. „Księstwo” jest dziełem przedstawiającym współczesną epopeję chłopaka z Gór Świętokrzyskich, który targany przemianami ustrojowymi i gospodarczymi w Polsce na przełomie XX i XXI wieku, zmaga się z przeciwnościami życia codziennego. Autor doskonale wyczuwa i wyraża w swoich opowiadaniach różnicę między warstwami społecznymi, wychwytyjąc przy tym najważniejsze rozdziewki międzypokoleniowe. Starsze pokolenie nauczone szacunku, wierności i stałości wobec wpojonych wartości i patriotyzmu, przeciwstawia młodszemu i jego niezdecydowaniu, pogoni za dobrami materialnymi, priorytetami takimi jak wykształcenie, szybka kariera zawodowa, mieszkanie czy dom i dopiero na końcu – założenie rodziny. Szybsze życie w ofercie dla elastycznych, potrafiących się błyskawicznie dostosować i odnaleźć w stale zmieniającym się otoczeniu. Teksty poruszają niewygodne problemy transformacji w Polsce, ukazują zakątki i ludzi zapomnianych przez system, zagubionych i opuszczonych, pozostawionych samym sobie. W efekcie problem sięga poza granice kraju, stajemy się plagą krajów Europy Zachodniej, dokąd zmierza masa ludzi biednych, głodnych, zawiedzionych obietnicami o cudzie i stoma milionami złotych dla każdego. To obrazy dzisiejszych czasów, szalonego pędu, nie wiedzieć za czym.

Książki Zbigniewa Masternaka mówią przede wszystkim o twardym życiu, a mimo to są pełne ciepła i sympatii dla głównych bohaterów. Kolejne opowiadania przedstawiają postaci mające rzeczywiste problemy życia codziennego, nie epatują zbędnym uzalaniem się nad swoją trudną sytuacją, lecz raczej poszukiwaniem pozytywnej strony i rozwiązaniem problemu. Czytelnik jest prowadzony przez świat transformacji gospodarczo-kulturowej, ulegający globalizacji, wrogi odmienności seksualnej, wyznaniowej i indywidualizmowi, zamknięty na przeszłość, starość,

biedę, niezaradność. Liczy się siła mięśni i majątkowy stan posiadania, intelekt może okazać się słabością. Przedstawiony też został problem przemocy w związku partnerskim, ukazujący przyzwolenie na użycie siły przez muzułmanina wobec nieposłuszeństwa kobiety. Drażąc głębiej temat, zauważymy, że przemoc w związkach pojawia się we wszystkich kulturach świata, będąc problemem ponad jakąkolwiek doktryną religijną. Dzieło Zbigniewa Masternaka to polska powieść o dzisiejszych czasach z elementami brutalnej rzeczywistości.

Są w naszym życiu przeczytane książki, zostawiające po sobie ślad na dłuższy czas, nawet na całe życie. Niektóre z nich prowokują, ubliżają, rozprawiają się z problemami, inne rozśmieszają, zachwycają i porywają, wywołując szalone uczucia. Sądzę, że opowiadania Zbigniewa Masternaka mają te wszystkie cechy i dlatego posiadają moc wciągania czytelnika w swoje światy, natomiast niepokój płynący z refleksji nad poważnymi przemyśleniami towarzyszy treści głęboko dotykającej niejasnych wydarzeń z przeszłości.

---

*Zbigniew Masternak (1978). Prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Z zamiłowania jest piłkarzem. Debiutował opowiadaniem na łamach „Twórczości” w 2000 roku. Pracuje nad cyklem „Księstwo”. Kolejno ukazały się „Chmurolap” (2006), „Niech żyje wolność” (2006), „Scyzoryk” (2008). Na podstawie wydanych opowiadań Andrzej Barański nakręcił film „Księstwo”. W 2003 powstał film „Wiązanka”. W 2005 „Stacja Mirsk” nagrodzony Grand Prix na IX festiwalu filmowym KRAKFFA. Tłumaczenia książek Masternaka na wietnamski, mongolski, macedoński, ukraiński, białoruski, rosyjski, niemiecki i hiszpański. W 2012 – otrzymał nagrodę im. Władysława Orkana.*



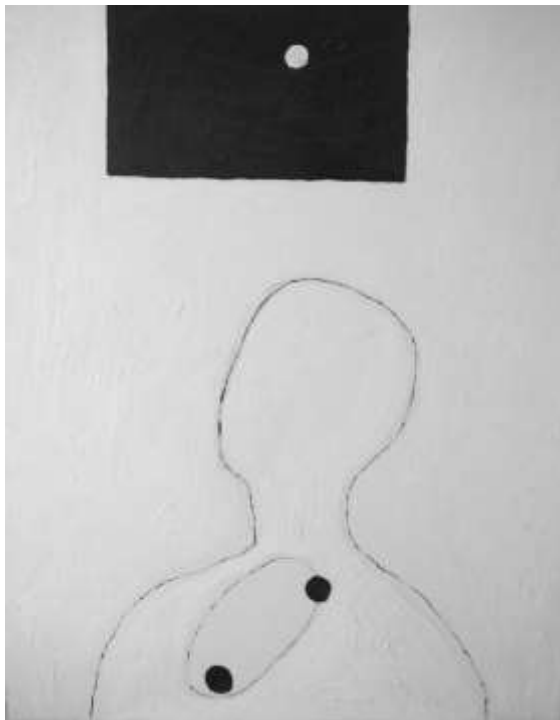
Jerzy Grupiński

**Wiersz z lustra zielonoświątkowy**

Promień w oczy  
i nad głową język ognia  
nad włosom mądrości tańczący  
Kto przez sen zasadził  
doprawił mądrości rogi  
Kto zsyła wiatr ten wiatr  
który gładko strzyże tonsurę  
i układa włosy w wir?

Idzie do mnie dzień  
jak spragniony do głodnego  
Omija serca mrok  
z nagłą z nieba ogień i szum  
który pochłania oczyszcza  
i napełnia cały dom

Wiersz – dzień który wie  
bo policzył wszystkie włosy  
i szczęśliwie jak igielne ucho  
znalazł w stogu siana



Krystian Medard Manteuffel

**Ruah**

*To ona Ruah  
Ona, duch Boga  
Wieszczka  
Życia wiecznego  
Które ma początek we mnie  
Waltraud Weiss – „Die weibliche Seite  
Gottes (”Kobieca strona Boga”)  
Kamie*

... te, które dotykałem, niosły świadomość  
wiary  
w ożywczy dotyk pierwszej kropli  
toczącej się z Jego woli po stokach  
bezludnej ziemi.

Z tych, które dotykałem, wyszła Ruah,  
dobra nowina o cudzie rzeki,  
w którą się przerodziły.

O cudzie rzeki, która opływała nasze golenie,  
kolana i płeć;  
o obietnicy upojnej miłości,  
o rzece życia  
niosącej życie.

Te, które dotykałem,  
były kunsztem Demiurga, dziełem  
tworzącym dzieła jemu podobne.

Te które dotykałem.  
Te, które dotykałem moimi ustami.

Usta kobiety  
- Twoje usta...

*Drogi Jerzy!*

*W Starym Testamencie Ducha Świętego określa się słowem Ruah (występuje 389 razy bezosobowo), słowo to w języku hebrajskim jest rodzaju żeńskiego. W toku ewolucji ruah nabrało także znaczenia „duch”, w odniesieniu zarówno do człowieka, jak i do Boga. Dlatego w moim wierszu jest ten wyraz osobowy, żeński. W Starym Testamencie spotykamy zwroty: Duch Boży (ruah Elohim), Mój Duch (ruhi), Jego Duch (ruho). Te wyrażenia mają wyłącznie teologiczne znaczenie i oznaczają moc Boga, który przekształca osobowość człowieka, by był zdolny do niezwykłych czynów.*

*Ale zachowaj spokój, bo Go spłoszysz.*

*Pozdrawiam Cię z Lenningen, z Doliny Fossylli.*

Krystian

## **Egzystencja i język transgeniczne. Poemat o mówieniu prawdy Dawida Junga.**

To żarliwe oczekiwanie spełnić się jeszcze nie może, ale zbliżanie się ostatecznego wyraźnie zapowiada już dzisiaj w rutynowych, iluzorycznych na poły realiach codzienności żywych. Ci ostatni z właściwą im zdolnością bagatelizowania wszystkiego, co ponadczasowe, próbują zapowiadana przez umarłych i poetę prawdę zagłuszyć własnym sposobem istnienia. Dlatego bohater „Poematu o mówieniu prawdy” – sojusznik umarłych i pośrednik między światem ich a światem żywych – woła o i do umarłych tak, żeby być słyszany przez żywych:

*jeszcze za wcześniej: mistycy znad Styksu  
 zawiązują pakt, milczą.*

(...)  
*w kryzach traw i płynnej rtęci nie słyszę was,*  
 (...)

*jeszcze za wcześniej: mężczyzna na ulicy kości  
 karmi trzy psy (...)  
 na wzgórzach roznieście ogień,  
 niech barbarzyńcy zobaczą, ilu nas jest.*

Sięgnięcie autora po wymowny starogrecki źródłosłów „barbaroi” potraktować tu wypada jako element diagnozy współczesnej cywilizacji, jednak o wiele odeń istotniejsze pozostają wspomniane akcenty eschatologii chrześcijańskiej. Przez *ilu nas jest* rozumieć bowiem można wszystkich żywych i umarłych, którzy wypatrują nadejścia tej jedynej w swoim rodzaju rzeczywistości, jakiej Biblia nadaje kształt między innymi Wiecznej Jerozolimy. W poemacie owa nowotestamentowa perspektywa Apokalipsy skrzyżowana została ze starotestamentowym – przetworzonym przez Junga – motywem Wyjścia (w którym tradycja egzegezy biblijnej upatrywała jednej z prefiguracji wydarzeń ostatecznych):

*[exodus]:*

*najpierw wyszły ptaki  
 i niebo puste nie produkowało błękitu.  
 później drzewa, przydrożne i parkowe, zwróciły się  
 przeciwko sobie. i wyszła  
 zieleń wszelka a ziemię brud ogarnął.  
 mówiono między poganami:  
 uważajcie na czas, bo i on wyjdzie z was,  
 i kto was unicestwić będzie,  
 gdy wam już sił zabraknie.*

Ta poetycko-eschatologiczna wizja Dawida Junga – choć interesująca pod względem plastycznym – nie odpowiada jednak na wiele pytań, które nasuwa jej lektura. Tyle, że to niekoniecznie pragnienie odpowiedzi na takie lub inne pytania inspirowało tutaj autora. Wizja ta odnosi się wprawdzie do fundamentalnego tematu naszego końca-i-początku, ale jej enigmatyczność

wydaje się mieć charakter, który samej eschatologii nie służy. To enigmatyczność natury bodaj głównie estetycznej – postromantyczna impresyjność myśli i autonomizującego się obrazu. Niezależnie więc od faktu, że zakorzeniony w tradycji judeochrześcijańskiej autor posługuje się jej symboliką, *[exodus]* nie jest tekstem eschatologicznym w sensie, jaki akcentuje owa tradycja (i nie zmienia tego znaczące użycie słowa *poganie*, paralelnego do użytych wcześniej *barbarzyńców*).

Impresyjność w ujęciu tematu eschatologicznego okazuje się, co więcej, korespondować z referowaną tu koncepcją poety ogłaszającego żywym prawdę o świecie umarłych. Koncepcja ta *expressis verbis* naznaczona jest przeciwieństwem romantycznym gnostycyzmem Juliusza Słowackiego, którego fragment listu do matki Jung uczynił jednym z dwóch mott swojej książki. Stąd też zawarta w niej sekretna wiedza poety o związanych z umarłymi rzeczach ostatecznych pobłyskuje chwilami polem jakby ezoterycznej stylistyki, ale nie zyskuje przez to ciężaru ani klarowności przesłania. Niewykluczone, że daje tak o sobie znać pewna skłonność autora do rozmywania konturów poetyckiego sensu – wyrastająca z uprzedniej, osobistej percepcji świata... Niemniej podkreślić w tym miejscu trzeba, że niezależnie od kontrowersyjności ujęć Dawid Jung posiada intuicję tematów rzeczywiście istotnych

W okolicach 16. fragmentu „Poematu o mówieniu prawdy” innym z takich tematów okazuje się notabene miłość między kobietą i mężczyzną; do końca już cyklu ściśle splatająca się z przewodnimi wątkami żywych-umarłych oraz śmierci-życia. Jak i one erotyka unerwiona jest tu autorską biografią i jak one ujmowana wielowymiarowo, by nie powiedzieć znów – transgenicznie. Jeden z tych wymiarów to sygnalizowany wyżej biologizm; niekiedy dowartościowywany metafizycznie:

(...) *miłości*  
*(której nie potrafimy wypowiedzieć ani odróżnić  
 od głodu własnych ciał)*

Zmagając się z niewyczerpanym tematem relacji mężczyzna-kobieta, Jung potrafi jednak wyjść daleko poza poetykę (jak sam pisze gdzie indziej) *rozwartych kolan, wyrobiska piasku, lateksowego woreczka* i podobnych, skonwencjonalizowanych już, paranihilistycznych rekwizytów. I tak bardziej frapujące postacie erotyku odnaleźć tu można w rejestrze erotyczno-mortalnego humoru. Pobrzmiwia on w *[scrabble™]* – wiersz-zabawce, który w zestawieniu z poprzedzającą go *[wizją Noego]* współtworzy dylogię o miłości i śmierci, w warstwie techniki artystycznej odwołującą się do poezji konkretnej:

*[scrabble™]:*

s  
 i  
 u c z ę  
 m c  
 c i e b i e a  
 e o ł  
 r ż y c i e  
 d l a e  
 ć



[wizja Noego]:

p p p  
o o o  
p o t o p  
o o o  
p p p

[scrabble™] z „Poematu o mówieniu prawdy” układa się zatem w wyznanie miłosne, które podobałoby się pewnie egzystencjalistom: „Całe życie uczyć się dla Ciebie umierać”. Mortualny odbiór tego erotyku wzmacnia się w nas, jeśli po linii skojarzeń wokół grafiki wiersza cofniemy się właśnie do wcześniejszej w tomie [wizji Noego], która łączy w sobie motywy eschatologiczne i akwaticzne. Wizualnie centralny tam „krzyżyk” nasuwający może zarówno obraz martwego ciała dryfującego w wodach *potopu*, jak inskrypcji o dacie śmierci na płycie nagrobnej.

Elementy tego rodzaju sztuki raczej nie wzbogacają przesłania cyklu, ale ilustrują ważny rys stosunku autora do artystycznej formy. Chodzi, rzecz jasna, o uwagę dla szeroko pojętego rzemiosła – co niegdyś w sztuce było oczywistością, a napotkane dzisiaj zasługuje (nie tylko w poezji) na wyróżnienie. W przypadku Junga atencja ta wydaje się w dużej mierze pochodną jego respektu dla kulturowej tradycji w ogólności, respektu w omawianym poemacie związanego wprost ze swoistym autorskim kultem zmarłych.

Inną humorystyczną na poły dylogię mortualno-erotyczną współtworzą cytowany już [wstęp do *alchemii*] – poetycko-chemiczny opis rozkładu ciała ludzkiego w ziemi – i ściśle do tegoż utworu paralelny fragment 21 C – zabawnie rzeczowy opis składników żelu intymnego dla kobiet. Owe drobiazgi seksualnego humoru nie przesłaniają jednak głównej perspektywy serio, w której nie przypadkiem wyakcentowaliśmy elementy egzystencjalistyczne. Z biegiem dni i lat głęboko wciałowięci bohaterowie erotyków Junga żyją przecież coraz bardziej ku śmierci i faktu tego szczególnie dramatycznie dane jest im doświadczać w sytuacjach intymnych zbliżeń:

*chwyciłaś moją twarz i powiedziałaś:  
bronić się będę przed takim końcem, mięso nasze  
już nie odrośnie, i w mięsie naszym nie zamieszka  
nikt.*

Ta nieubłagana przemijalność czasu i życia – zwłaszcza zaś miłości – kochanków z „Poematu o mówieniu prawdy” co dzień wręcz dławi; z drugiej strony to wyłącznie miłość pozwala im, choćby na krótko, zaznawać czegoś, co poza upływający czas wykracza – jak

*przeprawa na drugą stronę powietrza, tam, gdzie  
twój oddech wciąż we mnie drga (...).*

*chciałbym raz jeszcze światem wczesnym,  
nim ptaki wzbiją się do lotu, wejść  
w Ciebie. i nie wrócić.*

Niezależnie od siły obrazów i metafor ujęcie miłości erotycznej trąca więc w przywołanych tu wierszach dość łatwym eskapizmem. W uniwersum egzystencji skończonej miłość ta rodzi się wprawdzie jako wyjątek i protest w imię nieskończoności, prędzej czy później jednak

obumiera, potwierdzając trywianą regułę przemijania Nr 57/2016  
wszystkiego.

Piętno pewnego redukcjonizmu w ujęciu tematu erotycznego widać też w narcystycznym komponencie męskiego podmiotu. Liryczność jego wyznań wydaje się niekiedy subtelnie oscylować pomiędzy niezbyt subtelnymi biegunami seksualnego konsumpcjonizmu i żalu niesłusznie odtrąconego kochanka-poety, który po czasie bierze odwet w wierszu:

*co z nami będzie, gdy już przestaniesz mnie  
całować.*

*miałeś mnie przygarnąć, jak wtedy, gdy padał  
na nas deszcz i tylko ja go czułem. nie pamiętasz.*

*(...) nie było mnie w Tobie, Heloizo, nigdy,  
naprawdę. zawsze  
odgradzałaś mnie od Ciebie miłość, której chciałaś  
się nauczyć (...)*

*tym jest śmierć,  
którą mi zadałaś. opuszczenie czy odpuszczenie.*

W rzeczywistości zatem, w której i mężczyźni, i kobiety walczą ostatecznie o własne ego, pragnienie żarliwej wzajemnej więzi – jakkolwiek nie do spełnienia – jest pomimo wszystko czymś najlepszym, czego człowiek może w życiu doświadczyć; albowiem:

*kto poddaje się miłości,  
kapituluje jako zwycięzca.*

W reprezentatywnych dla naszej epoki erotykach Dawida Junga o szamotaniu poszukiwania, odnajdywania i gubienia miłości pobrzmiwają też jednak tony dziś nieczyste – wyższe i czystsze, a zarazem odległe od naiwnej idealizacji. Słysząc je w tych frazach (i cóż, że nieodkrywczych?!), w których miłość jawi się raczej jako rezygnacja z siebie niż samorealizacja. Zamknięty krąg indywidualistycznych apetytów i rozczarowań w byciu z Drugim rozzerwać przecież może jedynie faktyczna zdolność do poświęcenia się dla niego, a więc także do przeżywania cierpienia, które pogłębia relacyjność osób. Z takiej też wizji ludzkich więzi (bynajmniej nie tylko erotycznych) wypływa najdojrzałszy z miłosnych wierszy tomu – żałobne przepowiadanie upadku Troi, paradoksalnie skierowane przez podmiot liryczny do nienawidzącego ją Ulissesa:

*sen. Troja upadnie, Ulissesie. pluszczą się  
chłopcy w nabrzeżach rzek, na dzikich plażach. a  
my,  
zgrzebny widok nagich ciał, które zabierze nurt.  
sen. Troja upadnie, Ulissesie. słuchamy*

*wieszczek z odciętymi sutkami. mowa cicha,  
spierzchnię usta. z naszą spieszymy się miłością. sen,  
który przychodzi i znaczy samotność i lęk,  
który przychodzi i znaczy śmierć, zatracenie.*

*Troja upadnie, Ulissesie. sukieneczki,  
pukle, jedwabne wstążki do opłatania rąk  
pożycza ogień i trawę. sen. Troja upadnie, Ulissesie,*

*jak ginie, czego kochać nas nie nauczono.*

Ten bardzo istotny w poemacie Junga sonet poświęcony jest miłości niejako *à rebours*. Mówi nie tyle wprost o niej, ile o grozie jej nieodwołalnie zbliżającej się powszechnej utraty. To radykalnie pesymistyczne przesłanie utworu rozpina się na oryginalnie użytych przez autora toposach Troi i Ulissesa. W *Iliadzie* władca Itaki był bowiem jednym z zażartych wrogów królestwa Priama, w utworze Junga staje się zaś adresatem lamentu, który podmiot liryczny podnosi z powodu nadciągającej zagłady Ilionu; i to adresatem w zamyśle podmiotu empatycznym, którego wprowadzie *kochać (...)* nie *nauczono*, ale który po czasie pojmuje wynikającą stąd tragedię. Takie daleko posunięte przewartościowanie figury Odysusza spójne jest z równoległym przewartościowaniem figury Troi. Topos miasta Priama przetransponowany tu został w kierunku najbardziej maksymalistycznej ze znanych nam postaw miłości – zdolnej do całkowicie bezinteresownej ofiary z siebie chrześcijańskiej Caritas. Dlatego „późniejszy” Odysusz Junga – w odróżnieniu od „wcześniejszego” Homerowego – potrafi odczuć wielkość miłości nieulegającej ciężarom ego, czując tragizm jej zbliżającej się nieuchronnie utraty. Żalobnie obwieszczany Odysowi przez podmiot liryczny *sen, który przychodzi i znaczy samotność* oraz *śmierć*, to przecież jakiś niewyobrażalny kres miłości w życiu zarówno konkretnych ludzi, jak całej cywilizacji. Ten bodaj najbardziej minorowy z utworów cyklu płynnie przechodzi w jego ostateczną kodę – powracające znów wątki sztukmistrza-strażnika pamięci i rzeczywistości transgenicznej.

Dawida Junga „Poemat o mówieniu prawdy” sam jest *mówieniem prawdy* próbą; próbą jedynie i aż. Bo – choć to zszarzały od starości truizm – całej *prawdy* nie umie ogarnąć nikt z nas; a prawda cząstkowa, którą ogarnąć umiemy, nie jest prawdą, której potrzebujemy najbardziej. Dlatego na uznanie zasługuje każdy wysiłek poznania i wypowiedzenia (nie tylko poprzez sztukę) tego, co wykracza poza doświadczenie ego i co może nas do siebie wzajemnie zbliżyć. Dawid Jung wysiłek taki podejmuje i to ze skutkiem estetycznym, który czytelnika przyciąga, a nie nuży bądź odstręcza. W epoce, w której tak często uprawia się literacką bazgranię, autor „Poematu o mówieniu prawdy” wiersze zatem niewątpliwie pisze. I podczas gdy wielu piszących ekscytuje się estetycznym pseudonimowaniem rzeczy bez znaczenia, on sięga po tematy, pod ciężarem których upadali najgenialniejsi.

---

*Dawid Jung: „Poemat o mówieniu prawdy”, Zeszyty Poetyckie, Gniezno 2015.*

## Stanisław Chyczyński

### Bezednia (19 IX 1939)

*Pamięci kpr. Stanisława Stadnickiego*

Gdy kule gwiżdżą, jaka to melodia?  
Dzisiaj gra w (nie)byt. Wczoraj grał na skrzypcach.  
Jeszcze mu w żyłach musuje krew młoda,  
choć źle wróży z raketnicy wystrzał!

Pacierz pod strachem kogóż może wzruszyć?  
Celny strzał uczy, że trzeba umierać.  
Sabinko, zamknij oczy, zatkać uszy –  
jesteś za mała na ten krwawy teatr.

Pan Lucjan mówi: Historia jest prosta,  
ktoś naszych zdradził. (Jego udział w klęsce).  
Wpadli w Bezednię, Niemców było więcej.

Więc gdzie oberwał? Ile razy dostał?  
Pani Sabina tego nam nie powie.  
Krzyż stoi śmiało, prawda – leży w grobie.

*Zaduszki 2013*

*Bezednia – lokalna nazywa wąwozu w Majdanie Stanieckim (k. Starego Zamościa), gdzie w czasie kampanii wrześniowej poległo 14 polskich żołnierzy*

## Nguyen Chi Thuat

### Torba na kółkach

W dniu ślubu  
nie miałem dla ciebie  
obrączki  
Chciałem ci dać po latach  
Mówiłaś: niepotrzebnie.

W Polsce  
kupiłem ci piękną torebkę  
Ucieszyłaś się z niej  
i nosiłaś aż się zniszczyła.

W rocznicę ślubu  
po trzydziestu z górą lat  
dałem ci w prezencie  
torbę na kółkach  
Chodzisz z nią na zakupy.

Patrzę zmęczonymi oczami  
jak toczysz torbę na kółkach  
Widzę w tobie

dziewczynę z dawnych lat.

**Bez tematu**

Palce wiszą nad klawiaturą  
Zaskoczony brakiem  
Rytmu słowa  
Napięcia między wersami  
Bez tematu do pogadania  
Zdrętwiały  
Tylko oczy widzą wszystkie litery przeszłe  
Zakola i ścieżki myśli  
Ale one nie piszą...

**Maria Ciążela**

**nieuchwytność**

na końcu świata  
mojego czy w ogóle  
koniec jest  
tam gdzie początek  
może wcale go nie ma

wszystko jest okrągłe  
i ziemia  
i gwiazdy  
fortuna jak koło  
słowa na okrągło powtarzane  
które zatarty znaczenie  
i głowa  
i moneta  
co strony ma dwie jak medal  
i kropka nad i  
i ta co kończy zdanie

na końcu świata  
mojego i w ogóle  
wszechświat wymyka się

**Bogumiła Janicka**

\* \* \*

Rękoma  
czynię  
codziennie spraw  
malutkie rzeczy  
nieznacznego człowieka  
Dotyk szklanki  
Muśnięcie ręki  
Krok po kroku  
na czynie czyn

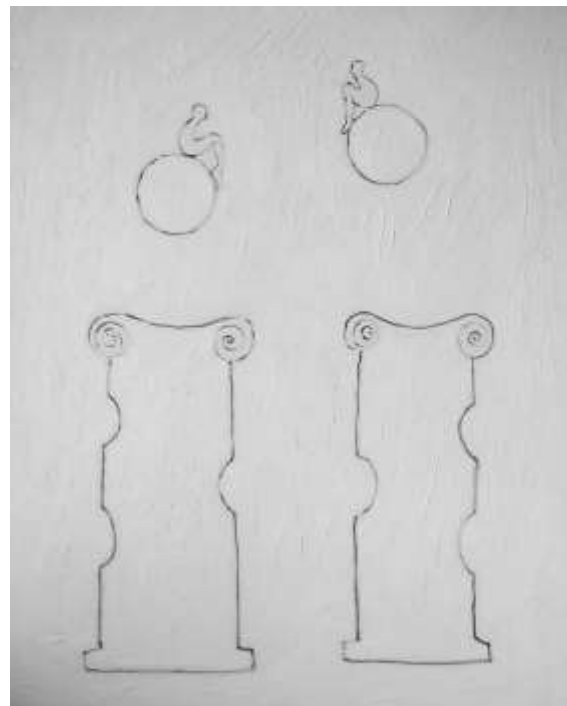
**Sławomir Krzyśka**

\*\*\*

Za drzwiami które zamknęła cisza  
mieszka wiersz pisany głosem nieba

Jego wersy zmieniają słowa  
w spokojną wodę w strumień słońca

Odkrywa nieodkryte przywraca dalekie  
oddaje zapomniane wspomnienie



**Andrzej Szmal**

**Z krainy ostatnich ptaków**

*Edycie Kulczak*

jemiołuszki drozdy  
jesienią szalone  
że tyle ich  
i tyle jarzębiny  
i tyle nieba  
że nawet w oknach  
aż świat się na nich nagle  
rozbija zostaje  
parę piórek

Katarzyna Michalewska

## Kiedy zakwitną maki

Lektura drugiego tomiku poetyckiego Doroty Nowak „Opium” utwierdza mnie w przekonaniu, że ważniejsza od wyrafinowanej techniki i erudycyjnych gier słowem jest prawdziwość uczuć, z których rodzą się wiersze.

Znajdź swoje wnętrze, a w naturalny sposób popłynie z niego poezja. Zadaniem twórcy jest bowiem – jak pisał Goethe – stawianie się prawdziwym wobec siebie, a co za tym idzie „przezroczystość” wobec rzeczywistości przedstawianej. Wtedy możliwe jest pośredniczenie w tym, co niewysłowione, bo wiersz może *zamknąć i otworzyć, zagłuszyć zgubić* (domykanie).

Odkrywanie własnego „ja”, proces rozwoju osobowości, stanowi warunek uczenia się miłości, która jest tworzywem wartościowej sztuki. Zły wiersz – jak zauważył G. Peck – nie rodzi się bowiem ze złego warsztatu, ale z braku miłości. Miłość, która emanuje ze strof Doroty Nowak – pełna pasji, nienasycona, żarliwa – buduje przestrzeń dla takiego rodzaju spotkania z drugą osobą, które dla podmiotu lirycznego staje się doświadczeniem transgresyjnym: *wędrowka po ciele dotyka czułych miejsc (...), które pozwalał przekraczać bez oporu* (mapa), prowadzącym do wglądu w naturę rzeczywistości; ujawniającym jej pierwotne dobro i piękno, ukryte za zasłoną pozornych antagonizmów i sprzeczności: *dla zapomnienia zapamiętania / rozumu szaleństwa i grzechu* (nie opowiem), *umiesz zmieniać moje lęki / z nocnych koszmarów w poranne / zorze* (koronki).

Kluczem do wnikięcia w bogactwo świata jest dla Doroty Nowak erotyzm pojmowany przez nią, zgodnie z grecką tradycją, jako przenikająca wszystko życiodajna siła uzdrawiająca. Apolliniński bardziej, niż dionizyjski żywioł, niosący spełnienie i szczęście: *Wiersze mają być szczęśliwe* (nie opowiem). Jest to erotyzm lekki, subtelny – obrazujący stan pierwotnej niewinności. Rajski mit opowiedziany na nowo, poprzez czułą obecność, zmysłowy dotyk przywraca harmonię, pozwala powrócić do utraconego niegdyś Edenu: *z zagłębień wokół szyi do chabrowych / pól gdzie stopy dotykają wstydu* (wątek).

Miłość, erotyzm niejedno mają imię. Świat poetycki Doroty Nowak jest nimi nasycony. Dziwnie łatwo wierzymy autorce „na dwa”, że znaleźć je można zarówno w zmysłowych obrazach *miodu przelewającego się pomiędzy udami* jak i w *aromacie pitej kawy, parze staruszków ściskających w dłoniach okruchy* (obok kawiarenki), *ziarnach maku tulących się do bieli* (moje twoje), czy *trawach splecionych biodrami* (nie uciekaj).

Autorka „Opium” wyprowadza nas na leśmianowską łąkę, pełną chabrow i maków, gdzie świat realny przenika się z magicznym. Z makową panią i motylem Emanuelem każe nam tańczyć dotykać i smakować. A wszystko w rytmie delikatnych, pastelowych obrazów, wzniecanych przejrzystą mgiełką metafor, z arabeskami zaskakujących puent. Jak szkiełka układające się w kalejdoskopie *symbole tworzą bukiety* (inter-

punkcja), *zwiewnie płyną frazy* – smużki dymu w palarni opium.

Dlaczego mielibyśmy nie kochać, a także robić innych rzeczy, które mają udział w odwiecznym pięknie niosąc radość: *wznieść się nacałować do syta* (nie opowiem), *biegnąc po wiersze szczęśliwe* (wiersze szczęśliwe)? Wszyscy możemy przecież być twórcami pięknego poematu własnego życia, zdaje się przekonywać autorka „Opium”, dla której poetyckość – podobnie, jak dla Łucji Danielewskiej: *nie jest efektem czasem zdarzającej się reakcji na świat, lecz stałą płaszczyzną jego przyswajania*.

Być może dlatego udało się poetce zawrzeć w niewielkich formach poetyckich tak olbrzymie bogactwo różnorodnych ludzkich doświadczeń, odcieni nastrojów i emocji; wzniostych i zmysłowych, delikatnych i odrobinę chropawych, oddanych z kobiecą wrażliwą przenikliwością: *za każdym razem kiedy zakwitną / maki wiem, że będzie bolało* (miłość).

Światłoczułość spojrzenia zatrzymującego w kadrze *subtelność chwili* buduje swoistą *poetykę znaków przestankowych* nadając wartość zarówno rzeczom i uczuciom wielkim, jak *duże litery* i małym, *jak kropki i przecinki* (interpunkcja). Każda najmniejsza rzecz, nawet *piszkę zaplątaną w przydrożnym drucie* (piszkę) okazuje się cudem, już przez sam fakt swojego istnienia. „Wszystko, co żyje, świętym jest” – zdaje się powtarzać za W. Blakem poetka.

W tej postawie zdziwienia, zafascynowania światem i życiem w różnorodnych jego przejawach, w celebrowaniu chwili, filozofii cykliczności (rodzenie – przemijanie) bliska jest autorka „Opium” poetyce Leopolda Staffa: *słońce zmieniało w kromki chleba / dojrzewające kłosy zakwitwały maki / na rabatkach rozchodniki i zawilce / zabarwiały ogrodowe kamienie* (kromki chleba).

Tytułowe opium, obecne jest tu symbolicznie jako polot „ces plairs” – rodzaj poetyckiej gry. Poetka nie przekracza bowiem subtelnej granicy, która dzieli artystyczną kreację od narkotycznego odlotu w iluzję. Unika także pułapki naiwnego optymizmu. Jej rzeczywistość poetycka niepozbawiona jest napięć, wyrażających się w przeciwieństwach między rozkoszą i cierpieniem, dramatycznością i łagodnością, humorem i smutkiem. Raz po raz na jaskrawoczerwonych makowych łąkach sieje się ciemny chwast – poczucie przemijania. Między pragnieniem a spełnieniem cieniem kładzie się lęk. Na „poetycznym konterfekcie” (określenie Łucji Dudzińskiej) powstają skrzętnie ukrywane *szczeliny pęknięcia i zadrapania*” (kromki chleba).

Prawdziwe opium – zdaje się brzmieć przesłanie Doroty Nowak – to poezja. Jest ona formą terapii. Pozwala zatrzymać się na chwilę, zasnąć na jawie lub obudzić się we śnie, jak napisał Leszek Żuliński. Rozjaśniając rzeczywistość daje zapomnieć o codziennych troskach, uśmierza egzystencjalne niepokoje. I choć – według A. Camusa – skazani jesteśmy na życie w tragicznych sprzecznościach, to właśnie poezja paradoksalnie pozwala nam wciąż na nowo wydobyc z nich szczęście i piękno: *nagromadzony blask wznieca pożar / a ciemność ukrywając zamęt – rozjaśnia* (wracaj)...

Dorota Nowak, „Opium”, wyd. Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysku, 2015.

## Numinosum

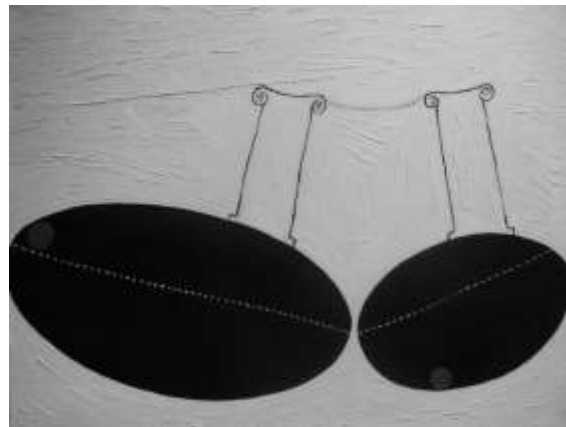
Poezja Jerzego Ł. Kaczmarka jest wizyjna i pełna wyrazistych porównań, obrazów, symboli – ma swój niepokojący nastrój i nieustannie zmusza czytelnika do refleksji. To jest próba odzwierciedlenia świata i ukazania jego niezwykłych głębi, barw i dźwięków, smaków i zapachów, a nade wszystko przestrzeni ontycznych. Poeta bytuje w imaginacyjnym zawieszeniu, w świecie czystych znaczeń i skończonych treści, ale wymowa przywoływanych symboli bywa u niego tragiczna, groźna, często przerażająca. Taki wszakże jest wymiar istnienia pośród świata, w którym świadomość implikowana jest przez nieustający rytm krwi płynącej w żyłach i pracę wielu skomplikowanych organów, w tym przede wszystkim mózgu. Poeta musi oswajać znaczenia i próbować dotrzeć do ukrytych wymiarów, do prawd esencjonalnych, do tego, co dla wielu przez całe życie pozostanie odległą tajemnicą. On jest kapłanem i prawodawcą obrzędu istnienia i zatrzymując się nad konkretnymi sytuacjami, sprawdzając realność świata, reaktywuje sensy, odnawia pierwotną treść. Cztery elementy wyznaczają ramy każdego bytowania, ale żeby dostrzec eternalny wymiar wody, ognia, ziemi i powietrza potrzebna jest specyficznie ukształtowana wyobraźnia, jakby rodem przeniesiona z zamierzonych kosmogonii. Pisanie wierszy jest próbą nowego ustanowienia żywiołów, chwilą pierwszą i ostatnią zarazem, momentem alfa i omega, zaczynem i rozpadem.

Niezwykle są owe zatrzymania świata i utrwalenia przestrzeni w liryce Kaczmarka – niby to proste słowa, niby znane obrazy, ale w takim doborze i z taką dykcją stają się one fascynującą poezją. Otwiera ona przed czytelnikiem nowe horyzonty i pozwala dostrzec jednię doświadczeń i pragnień, utrwalonych w pamięci najprostszycy, elementarnych cząstek i całych złożonych systemów semantycznych. Dla poety ważne jest też nieustające przechodzenie, metamorfoza, która nie ma końca; wciąż pojawiające się fenomeny natury i psychiki, wciąż napływające jaskrawe obrazy. Ktokolwiek weźmie do ręki tę książkę, będzie musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, czy świat wykreowany przez twórcę jest koherentny, czy ma właściwą podbudowę filozoficzną i kulturową, ale jednocześnie – odrzuci wszelkie jednoznaczne klasyfikacje, zauważy płynność znaczeń i wartość plastycznych przybliżeń, zaakceptuje uprawianą przez twórcę poetykę chwili i cząstki. Ta poezja jest ważką próbą rekonstrukcji świata, w wielu kadencjach i wielu odmianach. Człowiek poety idzie przez czas i próbuje znaleźć swoje miejsce, swój magiczny zakątek, w którym mógłby czuć się bezpieczny i mógłby spokojnie planować kolejne okresy istnienia. Ale świat niesie swoje zagrożenia i stale destabilizuje rzeczywistość – obok chwil szczęścia i ekstazy są momenty depresji, poczucia przegranej i zmarnowania szans. Poezja bywa ukojeniem, ale też i demaskacją, uczciwym procesem, w którym winy i kary są sprawiedliwie ważone. Nowy wiersz jest obietnicą i zarazem zagrożeniem dla sztucznie budowanego ładu ziemskiego, a nowy dzień musi mieć wyraźne utwierdzenie w realiach fizycznych i psychicznych – wszakże każda chwila jest zmaganiem się

z entropią. Dlatego tak ważne dla poety są momenty zadumy, kiedy patrzy na zatrzymane sytuacje, kiedy spogląda w przepaść tego, co się zdarzyło i co może jeszcze się przydarzyć.

Wielką wartością tej poezji jest umiejętność syntetyzowania, dookreślenia i wyodrębnienia integralnych znaków, sememów, przedziałów czasowych, które zdawały się błahe, a teraz – z perspektywy lat – mają być może centralne usytuowanie dla życiorysu. Ta sztuka słowa dotyka spraw najprostszycy i zarazem najważniejszycy, jest rodzajem lirycznej epistemologii i ontologii. Opis doświadczeń jednostki staje się w niej wykładnią praw obowiązujących w świecie. W konstrukcji wierszy najważniejszy jest prosty język, który został wyposażony w niezwykłą głębię metaforyczną i symboliczną i stał się sam w sobie znakiem czasu. Przywoływane zdarzenia, sytuacje i chwile, pojawiają się tutaj w opozycji do innych momentów z życia i dokumentują przemijanie. Spojrzenie na dziecko i na człowieka, który przeszedł sporą przestrzeń życia rodzi refleksje natury ogólnej i staje się rodzajem przypowieści. Poeta patrzy na swój los i na dzieje, w których uczestniczy, jak na drogę, którą przechodzi każdy człowiek od samego zarania. To jest obraz liryczny i ejdetyczny, w którym dodatkowo pojawia się tajemnicze numinosum. Tutaj mądrość jest niepodważalną wartością, bo wyposaża egzystencję w kontekst kulturowy, tworzy przestrzeń, w której ma swoje miejsce świadomość początku i końca wieku, w której mieszczą się treści naiwne i filozoficzne, pierwiastkowe i metafizyczne. To jest poezja wielkich wartości i ogromnych wzruszeń, liryka początku i wpisanej w każde istnienie nieuchronnej ostateczności.

*Posłowie do książki Jerzego Ł. Kaczmarka „Przepowiednie z kręgi nocy i dnia”, Biblioteka „Tematu” nr 86, Bydgoszcz 2015.*



## Barbara Tylman

\* \* \*

Chciałam napisać wiersz. O przodkach  
nie tylko swoich.

O babciach opatulonych w czarne  
wełniane chusty i ich pociesznym  
dreptaniu. O dziadkach nie mogłam nic  
bo z fotografii zapamiętuje się przeważnie  
sumiaste wąsiska. Chciałam o matkach  
które dla dzieci zawsze jak kwoki.  
Ojcach niekiedy pod wpływem  
i o rodzinach rozproszonych po świecie  
pod zmienionym nazwiskiem.

Zamierzałam napisać o pewnej dojrzałej  
kobiecie ubranej nie w markowe ciuchy lecz  
w wytarte džinsy i pikowaną kurtkę.  
I o jej dziwactwie. Bo z głową w chmurach  
unikająca spojrzeń ludzi mijanych po drodze.  
Nie zapamiętując twarzy na zawsze straciła  
najważniejsze obrazy swojego życia.

Ostatecznie jednak nie napiszę nic.  
Może uczyni to jakiś poeta.

## Małgorzata Mylka

### **niemi świadkowie wolności**

wieczorem w akademiku  
gdy zasypiamy  
rozmyci z masek dnia  
widzą nas tylko  
nocne lampki,  
budziki na stolikach  
i księżyc co wpada  
przez spraną zasłonę

oddychamy z ulgą...

a mówią,  
że trudno być sobą

komu?

## Aldona Latosik

### **Na przedwiośniu**

Zdecydowałam się napisać.  
List zakończyłam kropką,  
wszystko musi mieć  
swoje miejsce.

Wrzucę do dziupli,  
mojej tajnej  
skrzynki pocztowej.

Strzępy słów  
rozniosą ptaki,  
a może gniazda wyścielą,  
zanim narodzą się nowe.

## Patryk Nadolny

### **Dni spod ciemnych gwiazd**

Sny piszą wiersze,  
uprawiają jogging,  
całują się,  
czasami siebie odwiedzają,  
co może być wątpliwe,  
bo poprzedni sen,  
nie spotka się z następnym,  
który jeszcze mamy  
przed sobą.  
Sny więc nigdy nie chodzą parami.

Czasami potrafimy zejść bardzo daleko,  
zdejść buty, o zachodzie dojeść do siebie, okna.  
Szukamy ulgi w cieniu biletów – na gapę,  
gdy światło same siebie wyjaśnia ciemnością.

Nie idę o śnie,  
słońce nie zachodzi o śnie.  
To byłoby na tyle.  
Nie budzi zachwyty.

**Okruch nadziei**

no przestań płakać  
idąc ulicami nocą  
deszcz  
ten deszcz niech zwilża  
oczy i twarz twoją  
więc przestań płakać  
jutro będzie inaczej  
jutro ty granatowy chłopiec  
pod granatowym niebem  
pod tysiącami gwiazd  
w świetle księżycy  
będziesz szedł  
nie będzie już deszczu  
i nie będzie też łez

**Gabriel Roszak**

**Aż po bramy świtu**

uśpiony świat w kołysce  
nocy  
srebrem gwiazd  
przybranej

księżyc sierpem  
drogę odsłania  
aż po bramy  
świtu

**Mariola Kalicka**

**Nie płacz**

Dzień za dniem  
jak siostry  
w czynnościach podobne  
i w słowach tych samych  
i takichże potrzebach.

Wcześniej krzątanie codzienne  
czynności przyziemne  
grały serc przegrodami  
bolały jakby mniej  
siwizną rozjaśnione.

Zapłakałaś odejściem Matki  
zapłakałaś mową ciała  
nie płacz już,  
już płakałaś.

**Edyta Kulczak**

**wieża**

od pewnego czasu nie pozwalam już Johnowi  
mnie budzić  
dociera tylko surrealistyczny dźwięk słów  
gdy mówię o szaleństwie mówi o szaleństwie  
jeszcze możemy się porozumieć w pustym  
miejscu  
rozległej ziemi budować wieżowce sięgające  
chmur  
dla rozumienia sensu nas dwojga przydaje się  
fizyczna wiedza  
bardziej niż bóg  
wiara w zagięcie czasoprzestrzeni pod  
wpływem masy  
sił przyciągania albo w elektromagnetyczną  
więź elementów  
bardziej niż magiczne moce nadziei i  
modlitwy  
wolę być cząstką niż duszą wszystko wydaje  
się wtedy  
mniejsze i krótsze prawie do zwinięcia w  
garści  
wolę tkwić we śnie

**Krystyna Wojciech-Ratajczak**

**Dla Chełmońskiego**

Opary  
białym prześcieradłem  
kryją brązy, ochry  
i szarości skiby.  
Czuję zapach  
pieczonych kartofli,  
a żar ogniska,  
śmiech dzieci,  
nić babiego lata przeplatana  
między palcami  
rozmarzonych dziewczyn  
takie namacalne.  
I ta muzyka,  
skrzypienie studni,  
pieśń wiatru,  
tętent kopyt.  
Czy jesteś tu już tylko wierszem?  
A może Polską?

Władysław Łazuka

## Kocia

Kocia była prawdziwą damą. Wysmukłą, po kocieciu delikatną. Nosiła się z wysoka ale nie była zarozumiała. Poruszała się lekko i z wdziękiem. Była kotką o połyskliwym czarnym futerku z białymi dodatkami na łapkach, pyszczku i ogonie. Miała również biały krawacik.

Z nikim za bardzo się nie spoufalała, ale lubiła kiedy miała na to ochotę ocierać się o nogi i żeby ją za uszami podrapać też. Chodziła sobie tylko znanymi drogami, ale dom odwiedzała regularnie. Od pewnego czasu Kocia stawała się coraz grubsza, najzwyczajniej przytyła.

I nagle schudła. Co jest ...? Przychodziła, prosiła o jedzenie. I zniknęła. Gdzie...?

Zacząłem podpatrywać. Kiedy pewnego razu po posiłku Kocia ostrożnie wyszła, ja za nią. Przebiegła podwórce i po drabinie weszła na stryszek, tam gdzie składowane było siano.

A tam gniazdo. W nim kociaki. Ślepe maleństwa o różnej maści. Kocia popatrzyła na mnie trochę zaniepokojona, jakby dawała mi do zrozumienia – tylko krzywdy im nie zrób, bądź ostrożny, bo pazury w razie czego mam. I wcale się ciebie nie boję. Pomyślałem, że kocięta trzeba by do domu zabrać. Przygotowałem posłanie w dużym kartonie i jak pomyślałem, tak zrobiłem. Pomysł nie był dobry. Patrząc, a tu ni Koci, ni kotków w kartonie nie ma.

Zaglądam przez okno na podwórce, a tam Kocia wnosi już ostatnie z piątki swoich dzieci po drabinie na stryszek. Kiedy wyszedłem na ganek – jakby na chwilę zatrzymała się, spojrzała na mnie dając do zrozumienia: kociaki mają być tam, bo tak trzeba i wara, nie waż się ich więcej zabierać, bo tu wszystko ma być po kocieciu. I basta... Przyjąłem do wiadomości. Ma być po kocieciu. Każdy ma swój rytm, sposób bycia i styl. Kocia ma koci.

Któregoś wieczoru ciszą targnął niesamowity pisk i wrzask. To Kocia goniła coś, czego nie widziałem. A to coś darło się wniebogłosy. Mogła to być kuna a może kocur. Intruz pewnie znalazł się w pobliżu gniazda. Wiał niby wiatr i ratunku szukał na drewnianym słupie tuż przy bramie i furtce. Kocia za nim. Tak przerażającego wrzasku nie słyszałem nigdy przedtem ani potem. To coś, co mogło być kuną lub kocurem skoczyło ze słupa w ciemność i tak to się skończyło. Kocia wracała do dzieci. Pogląskałem ją. Cała była rozdygotana.

W małym ciele wielki duch, ogromne matczyne oddanie. Waleczność. Mogła przecież narazić na szwank swoje zdrowie, a kto wie może i życie. Wiedziała, czego się trzymać. Miała charakter.

Na jej pociechy trzeba było poczekać. Podrosły. Już widziały. Przyszła pora, kiedy sama przyprowadziła całą gromadkę do domu. Kocia i pięć kociąt. Tak miało być. Po kocieciu.

Aleksandra Wrona

## Nadzieja

W międzyczasie zdążyła wejść do mieszkania. Śmierdziało w nim wilgocią jak zawsze, kiedy zamykało się na kilka godzin okna. Zdjęła eleganckie czółenka, zsunęła z siebie przyciasną spódnicę i rozpięła żakiet. Nie będzie już dziś szła do syna, była rano, a mały nawet nie potrafił okazać wdzięczności. Że też takie kaprawe dziecko jej się trafiło... Jej – odnoszącej sukcesy pani prawnik, taka kula u nogi ciągnąca na sam dół. Wielokrotnie nie miała już do niego cierpliwości. Kiedy była w ciąży czytała te wszystkie gazety, które znosił jej Antoni – „Mamo to ja!”, „Supermama”, „Dziecko”. Było w nich pełno różowych, puchatych i roześmianych dzieci ubranych w modne ciuchy. Tak sobie właśnie wyobrażała Bolesława – miał być jednym z tych dzieci z okładki, a może i ona by się na taką okładkę załapała. „Nadzieja Sokołowska – najlepsza prawniczka w Warszawie tylko nam pokazuje swojego syna”, tak brzmiałaby reklama. Pampers przysyłałby jej prawdziwe pampersy całkowicie za darmo, nie musiałaby ubierać Bolesława w pieluchy „Dada”, które zawsze odparzały mu tyłek. Jadłby codziennie inne bebiko i gerbery, może by wtedy taki chorowity nie był... No, ale jak to mówią, jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, powiedz mu o swoich planach. Syn urodził się mały, zielonkawy i słaby. Trzeba było dbać o niego jak o porcelanową figurkę, bo gotów był się potłuc przy każdym drobniejszym urazie. Mało mówił, mało się uśmiechał, nie chciał bawić się tymi wszystkimi super zabawkami na baterie, które desperacko kupowała mu Nadzieja. Wstyd było się przyznać, no i żal serce ścisnął za każdym razem, kiedy to sobie uświadamiała, ale syn jej się po prostu nie udał... Może to geny ojca, bo Antoni był jak pralka, która psuje się miesiąc po ustaniu gwarancji, tak samo on zaraz po ślubie gwałtownie obniżył swoją atrakcyjność. Zapuścił wąs, schudł (a chuchro z niego było od samego początku), zmizerniał, przestał nosić garnitury i kupować jej róże. Na wszystkie pretensje odpowiadał: „Zejdź na ziemię, kobieto! To jest życie, a nie serial! Pieluchy się kończą, ziemniaki się kończą, a Ty płaczesz że cię nie Kocham! Palnij się w ten pusty łeb...”.

Zrezygnowana Nadzieja zdjęła biustonosz i rzuciła go na łóżko. W półmroku pokoju spojrzała na swoje piersi – jedna była minimalnie większa od drugiej, obie smutno wisiły za nic nie przypominając okładkowych biustów. Wzięła je delikatnie w ręce i przycisnęła do siebie tworząc rowek między jedną a drugą. Ach, ile by dała za taki rowek... Jej wizja życiowego sukcesu i ogólnopolskiej kariery zakładała operację biustu, ale dziś nie stać by jej było nawet na jeden sztuczny cycek, a co dopiero dwa. Rozluźniła dłonie, a piersi jak dwa zetknięte dodatnią stroną magnesy, odskoczyły pospiesznie od siebie.

---

*Aleksandra Wrona (ur. 1991w Tychowie) – poetka, psycholog, dziennikarka. Mieszka w Gdańsku. Nagradzana i wyróżniana w wielu konkursach poetyckich. Stypendystka Miasta Gdańska w Dziedzicinie Kultury (2014), uczestniczka programu NCK „Kurs na Kulturę”. Autorka tomu wierszy pt. „falochroń” (2015).*



## Aforyzmy

Jeśli miłość kojarzy ci się wyłącznie z grzechotką zmysłów, masz przechłapanie.

Powiadają, że cierpliwość jest matką wszechrzeczy. Lecz kto ojcem – pytam. Bo z chęcią spuściłbym mu łomot.

Poeci stawiają na wrażliwość.  
I jakże pięknie wykładają się na niej.

Chcesz poznać swoją wielkość?  
Zacznij od rozpoznawania własnej małości.

Zawierzysz uczuciu – zbłądzisz.  
Nie zawierzysz – zbłądzisz jeszcze bardziej.

Wiedza nie lubi, gdy się ją posiada. Woli być wolna.

Daj sobie szansę, nie zabierając jej innym!

Panie pisarzu – styl się liczy.  
Treść to przypadek.

Dla jednych serce to część podrobów,  
dla innych – świat cały.

Nie po to Bóg istnieje,  
by spełniać nasze zachcianki.

Szczęście to nie suma przypadków,  
a konsekwencja w dążeniu do niego.

W gruncie rzeczy niewiele wiemy o sobie.  
A i to, co wiemy, psu na budę.

W prawdziwym uczuciu rany są codziennością,  
lecz goją się szybko.

Światło jest dla wszystkich. I ciemność jest dla wszystkich.

I ten ustawiczny kłopot z nadmiarem masek  
na twarzach uczuć...

Co najistotniejsze, nawet w naparstku się zmieści.

Da się czerpać radość z cierpienia – gdy ku dobru obracane.

Już kilka razy witałem się ze śmiercią.  
I przynajmniej dotąd udawała, że mnie nie zna.

Ludzie przychodzą i odchodzą – jak wschody i zachody słońca.

## Ron Padgett

### Przez chwilę

To dziwne, że jeśli odpuszczasz sobie jakieś sprawy, one

zawsze do ciebie wrócą. To znaczy – czasami. Więc jaki

sens ma takie uogólnienie?  
Och, przyjemnie

jest powiedzieć coś takiego od czasu do czasu,

jakbyś faktycznie naprawdę i rzeczywiście coś wiedział!

### Fiksacja

To nie aż takie trudne – wspiąć się na krzyż i dać sobie wbić gwoździe w dłonie i stopy. Oczywiście, to by bolało, ale przy silnej woli nic byś nie poczuł. Z góry można by więcej zobaczyć, a wiaterek chłodziłby wyciekającą krew. Po wzgórzach z oliwkowymi gajami następują inne wzgórza z drogami i chatami, stada owiec na odległym wzniesieniu.

Przełożył Andrzej Szuba

---

Ron Padgett – urodzony w roku 1942 w Tulsa (Oklahoma), poeta, tłumacz, prozaik i wydawca amerykański, związany z kręgiem pisarzy i artystów nowojorskich. Ukończył studia w Columbia College. Ogłosił drukiem liczne zbiory wierszy. Przekłada literaturę francuską. W Polsce znany z dwóch wyborów poezji: „Świry – Nuts”, wersja dwujęzyczna (2007), w przekładzie Andrzeja Szuby i „Nigdy nie wiadomo” (2008), w przekładzie J. Gutorowa.

Stanisław Chutkowski

## Wobec „Sytuacji”

Tomasza Rębacza

Postacie, wczuwam się w ich sytuacji i myślę o wzajemnej zależności bohaterów tej książki. Według mnie, przywódca, szefem i przewodnikiem sytuacji jest Res Mental.

Pan w meloniku, to pogodna i nieśmiała postać, poeta, pisarz, myśliciel. Jest wnętrzem szefa, jego uduchowieniem.

Mateusz Ranto przybiera postać przyrodniego brata lub syna, to lustrzane odbicie Res Mentala. Świadczy o tym zbieżność liter RM i MR. Oriana to tajemnicza kobieta, do której z szacunkiem, a nieraz z uwielbieniem odnosi się Res Mental. To ktoś bardzo bliski.

Dziwne skojarzenia przychodzą do głowy, mam tu na myśli sferę sacrum, czyli trzy postacie w jednej osobie. Czyżby taka była podstawa do konstrukcji utworu? Taka człowiecza „trójca”? Tym trzem przygląda się z boku Oriana, kobieta wielu tajemnic.

Miejscem zdarzeń jest Lizbona i kawiarnia Cafe Nicola. Spacerując po uliczkach miasta, parkach, różnych zakamarkach, bywając często w ulubionej kawiarence Cafe Nicola, grupa tych osób spotyka się z różnymi sytuacjami. Omawia je, kreuje, przy czym obowiązuje tu pewna hierarchia. Przeważnie szef, czyli Res Mental, dzieli się swoimi uwagami z Panem w meloniku, często wciela się w niego i opowiada o swoich doznaniach. Recenzentami tych sytuacji opowiadanych przez Pana w meloniku są Res Mental i Mateusz Ranto. Dokonują oceny i stawiają tezę. Ci trzej myśliciele tworzą jedność, wprowadzając w zachwyt i zadumę jednocześnie.

Zaskakuje ogrom wiedzy, perfekcyjna obserwacja, tajemniczość, przenikające się metafory, napięcia. Ciągła wędrówka po zakamarkach i uliczkach staje się w końcu dla odbiorcy, trochę monotonna. Gdy podróżują po „Sytuacjach” Tomasza Rębacza, wyłania się postać autora, jego pasje, filozofia życia, fascynacja sztuką i miłość do najbliższych, a szczególnie do Oriany. Odczytujemy nastroje, uczucia, zmienność i dojrzałość, to książka autobiograficzna.

Autor zatacza krąg. Na początku, w „sytuacji 59”, pisze: *„Res Mental kiedy przebywa w Paryżu, widzi przez okno Starego Poetę, który chodzi do pobliskiej palmiarni i zbiera opadłe lekko pożółkłe liście laurowe, z których robi dla siebie wieniec laurowy. Natomiast w części końcowej książki, w „sytuacji 547” , która moim zdaniem stanowi klamrę zamykającą opowieść, autor pisze: Res Mental podczas spaceru po parku widzi Pana w meloniku, który zbiera zwiędłe, opadłe liście, przygląda się im uważnie i niektóre z nich wkłada do opartego o pień drzewa czarnego kuferka. Potem w domu długo ogrzewa je w swoich dłoniach i nieśmiało układa przed fotografią Oriany. Liście powoli odzyskują swoje barwy i drżąc opowiadają o miłości drzewa, z którego straciła je jesień.*

Res Mental wypowiada te słowa ustami Pana w meloniku, ale to jego uczucie i tęsknota do przeszłości. Tak może odbierać świat tylko ktoś dojrzały. Między tymi krańcowymi względem siebie „sytuacjami”, znajdują się opowieści z życia autora. Przykładem niech będą metafory z niektórych „sytuacji”:

*Res Mental widzi nadchodzącą Oriane, jest tak delikatna, że gałązka bzu ciąży mu w dłoniach.*

*Res Mental ma ukochane drzewo w parku, które przed południem ma delikatne zielone liście, a po południu uroczono złociste, obok jest ławka, na której często siadają z Orianą karmiąc drzewa.*

*Res Mental wyjmuje fotografię Oriany i Mateusza Ranto – wie, że trzyma w dłoniach hostię.*

*Res Mental podczas spaceru po uliczkach Lizbony mówi do Mateusza Ranto: „Jeżeli potrafisz oddychać twarzami bliskich tobie osób, to znaczy, że ziarenko którym jesteś, zaczyna kiełkować.”*

Tomasz Rębacz nie kryje się ze swoim sposobem myślenia, oceną życia, filozofią, a nade wszystko miłością do najbliższych, reszta wokół niego, to tylko barwnie opowiedziane poetyckie tło obrazu dużego formatu. Wypada mu życzyć powodzenia i weny twórczej przy następnych tomach. Ma bowiem „rękę” do sytuacji, oby go nigdy nie opuściły.

Tomasz Rębacz: „Sytuacje”. Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2015.

Wiesława Felińska

Trudna biel

Przepiękny temat o przyrodzie,  
Nie sposób ominąć lasu.  
Należy wspomnieć o jeziorach, wodzie,  
O parkach gdzie spokój – nie ma hałasu.

A ja patrzę przez okno zamyślona,  
Jakaś samotna, choć ludzi tłum.  
Czasem przeleci kruk czarny czy wrona.  
Popijam sobie z herbatą rum.

Piszę to, co serce dyktuje,  
Chciałabym wiersz biały jak śnieg,  
Ale nie wychodzi, wszystko się rymuje.

Przyjaciele mówią: "Pisz bez rymu – śmiało !"  
Lecz nie potrafię inaczej.  
Jak mam pisać coś "na biało"  
To zaraz płaczę...

zaczęła mówić. Że zazdrości mu takiego ciepłego ucha i dziwi się, że nie przeniósł się tutaj w całości oraz, że jej jesień jest smutniejsza od jego jesieni. Potem zamilkła. Nie wyciągnęła jej z ucha, które sobie tak upodobała.

Rafał T. Czachorowski

## Kartka

Mgła jeszcze nie pojawiła się na ulicy. Piotr stał na przystanku tramwajowym. Podszedł do niego z lewej strony.

– Czy możesz dać mi parę groszy na zupe, jestem głodny – powiedział intruz w jednej dłoni trzymając zgnieciony plastikowy kubek, w drugiej kartkę z informacją o jego ciężkim losie. Ponieważ oczekujący nie zareagował, dodał piskliwym, płaczącym tonem – zimno mi jest, jestem bezdomny.

– Ja też – mimowolnie odpowiedział Piotr.

– A, to masz – powiedział żebrak i wręczył mu kartkę. Wokół nie było śmietnika, więc czekający na tramwaj schował ją do kieszeni.

Żebrak odszedł w stronę innych oczekujących. Nie zdobył pieniędzy, nie na tym przystanku. Myśl, że może facet naprawdę jest głodny przewiał pęd tramwaju linii 9.

Na trzecim przystanku Piotr wysiadł, przeszedł przez fragment alejki parkowej, lubił tak nadkładać drogi o te dwadzieścia kroków. Doszedł do domu. Domu nie było. To znaczy był, ale inny. Na miejscu przedwojennej kamienicy stał nowoczesny apartamentowiec. No nie! wyrwało mu się w myśli. Rozejrzał się. Wszystko wokół zgadzało się, oprócz budynku. Nieśmiało podszedł do drzwi. Przy nich była lista lokatorów – od dawna niespotykana przy innych budynkach. Prześledził ją. Nie było na niej jego nazwiska.

Sięgnął po klucze. W kieszeni była tylko kartka.

## Między nami jesień

Siedzieli w absolutnej ciszy. Za dużymi przeszklonymi drzwiami tarasowymi, wśród opadłych, żółtych liści pnącej hortensji, przeciągała się mgła.

Żona, dyndając ledwo trzymającym się na stopie kapciem, od czasu do czasu rzucała: trzeba by było wymienić fotel lub – ale tam w rogu pełno kurzu, trzeba odkurzyć. Wyrażając się bezosobowo nie patrzyła na męża.

Mąż siedział na kanapie i patrzył na zimną mgłę. Leniwa mucha przeleciała mu przed twarzą. Był to jesienny, pełny rezygnacji lot. Usiadła mu na głowie. Zeszła na ucho. Nie trzepnęła jej dłonią. Rozochociona – chociaż nie jest to precyzyjne sformułowanie – zagnieżdżyła się w obszernej małżowinie.

– To nawet przyjemne – wyrwało mu się ledwo dosłyszalnym szeptem.

– Co było powiedziane? – zapytała żona.

– Nic – odpowiedział, co na moment uspokoiło stopę z ledwo trzymającym się kapciem.

Mucha weszła głębiej. Pocierała odnóżami, a gdy oboje przyzwyczaili się do nowej sytuacji,

## Zapominalski

Pyk – żelazko dało sygnał, że jest gotowe. Uprasował kołnierzyk. Gdy zakładał koszulę, trochę parzył go w kark. Guzik za guzikiem w odpowiednią dziurkę myk-myk. Stał w sypialni przed dużym lustrem i nie patrzył w nie. Opanowany czuł wewnętrzne rozdygotanie.

W poszukiwaniu filiżanki z kawą przeszedł przez całe mieszkanie i wrócił do sypialni. Filiżanka stała obok żelazka. Kawa była już chłodna. Zostało jej na jeden łyk. Bał się spojrzeć na dno.

Wyszedł z mieszkania zapominając kluczyków od samochodu, dowodu rejestracyjnego, kilku książek, laptopa, zdjęć... Miał nadzieję, że uda mu się zapomnieć również całą resztę.

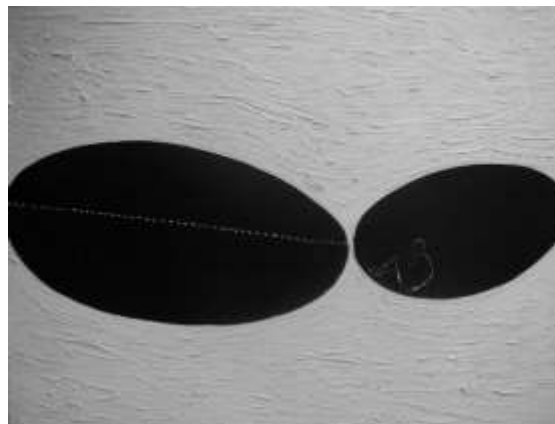
---

*Rafał T. Czachorowski – ur. 1969 w Warszawie. Pisze wiersze i prozę, redaktor i wydawca. Autor trzech tomików poetyckich i dwóch zbiorów opowiadań. Założyciel, redaktor i wydawca PoeciPolscy.pl – działającej od 2010 roku witryny promującej poezję.*

*Od 2012 roku prowadzi cotygodniową, autorską audycję radiową „Literacki wolny eter” w Radiu Wnet.*

*W 2013 stypendysta Miasta Stołecznego Warszawy w dziedzinie upowszechniania kultury – cykl warsztatów literackich dla dzieci.*

*Od 2013 prezes Fundacji Duży Format promującej literaturę i sztukę, m.in. organizator Festiwalu Dużego Formatu w Warszawie i Ogólnopolskiego Konkursu na Tomik Wierszy.*



Tadeusz Dziewanowski

## Siedem pestek namysłu. Strona Topoi

Siedmiu ważnych poetów różnych pokoleń i z różnych stron Polski skupiło się wokół sopockiego stróża czystej frazy, znakomitego poety i zasłużonego redaktora, Krzysztofa Kuczkowskiego, tworząc konfraternię twórców zjednoczonych bardziej podobną wrażliwością na poezję i literaturę oraz światopoglądem niż sposobem uprawiania poezji. Demonstrują oni swój niewątpliwą kunszt w próbkach twórczości dostępnych po kliknięciu na miniaturki fotograficznych portretów członków grupy na pierwszej stronie ich internetowej publikacji. Każdy z nich odznacza się budzącą uznanie doskonałością a zarazem wyjątkowością, która zakreśla szerokie pole odrębności w granicach łączącego ich środowiska, które otrzymało nazwę Topoi.

Trudno z takiego grona wybrać tego, którego „środowiskowa” wizytówka poetycka powinna być omówiona jako pierwsza. Wybierzmy zatem kogoś ze środka kolumny. Wybór padł na Wojciecha Kassa, który poza tym plasuje się też gdzieś w okolicy rocznikowej średniej całej grupy.

W reprezentacyjnym wyborze wierszy Kass stawia na pieśń. Wita gości pieśniami wysmukłymi, które nie tylko opowiadają świat pięknymi obrazami, ale też skłaniają czytelnika do refleksji nad siedmioma sferami życia. Siedem pestek namysłu, które poeta zasadził w „Kołysance o 23.39” rozwija się w innych wierszach w zadumę nad naturą, naturą ludzką, cywilizacją, rodziną, samym sobą, absolutem i fenomenem bytu. Chyba tylko Kass potrafi tak prawdziwie zdziwić się zwyczajnością świata („Drzewa puszczy, czemu takie dziwne drzewa?” w „Pieśń z okna”), użyć obrazu własnych rąk („Lady Makbet robi przegląd rąk”), które „zwisają z poręczy/ krzesła jak nietoperze/ głodne ciemnej/ wilgoci” i które kiedyś „łapały dozwolone,/ posiadały zakazane” w metaforze obrazującej przekazywanie synowi swojego doświadczenia. Tylko on potrafi „śpiewać” w duecie ze starą matką stojącą w oknie jak siwa mewa, kiedy oboje poruszeni zburzeniem domu sąsiadów i przemijaniem dawnego miasta i ludzi wołają do siebie w wierszu „Pieśń matki”: matka „woła: Eli, Eli Uli./ Nie ma, woła: Heli, Heli, Uli”, poeta odpowiada: „Heli, Heli. Ulii, Ulii./ Elii, Eliii.” Wszystkie wiersze tego zbioru przeniknięte są liryką wysokiej próby w szerokiej rozpiętości uczuć: od wyciszenia odczuwanego przez podmiot liryczny, któremu idzie [...] na czterdzieści sześć w „Pieśni uciszenia”: „I dopiero teraz czuję tę falę,/ Która wypełnia mnie i kołysze: // Uspokojenie, wyciszenie/ Bez i mniszek”, poprzez nadzieję zawartą w trzech wersach wiersza „Napowietrzne huśtawki”: „z wysokich traw wypatrujcie jaskótek / napowietrznych huśtawek / jeszcze nie tak pustych”, do smutku odchodzenia w kilku wierszach, w których zawarty jest temat śmierci.

Strona internetowa Topoi:

<http://topoi-miejsca.blogspot.com/>

**Grażyna Kielńska** – (1967, Poznań). W 1987-1992 studiowała malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Od ukończenia studiów zajmuje się pracą twórczą. Brała udział w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą.

Wystawy z ostatnich dwóch lat:

2013

- Bruksela , Art Base, Style of pain – Style of grace
- Poznań, Pracownia- Muzeum I.J. Kraszewskiego, Style cierpienia – Style łaski
- Poznań, Galeria Rozruch, Kilka definicji przyrody 2014
- Poznań, POSM nr 2, Nowe obrazy
- Poznań, Hospicjum Palium, Możliwość ziarna - wędrujące początki

Wiersze piszę od 14 roku życia. Po raz pierwszy opublikowałam je w pracy dyplomowej. Były one dopełnieniem moich obrazów. Towarzyszyły także obrazom, które zamieszczałam w katalogach przy okazji organizowanych przeze mnie wystaw (Galeria Profil w Poznaniu 1994, Galeria Promocyjna PKO BP w Poznaniu 1997, Galeria Sztuki Wozownia w Toruniu 2007). W 2005 moje utwory poetyckie znalazły się w Almanachu „Arka” Klubu Literackiego Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu. W 2006 roku zostałam zaproszona do publikacji w wortalniku „Okolica Poetów”, a w 2008 roku do publikacji w „Protokole Kulturalnym” w Poznaniu. Moje wiersze znalazły też swoje miejsce w „World Poetry Yearbook 2013” i „World Poetry Yearbook 2014”.

e-mail: [gkielinska@poczta.onet.pl](mailto:gkielinska@poczta.onet.pl)strona internetowa: [www.gkielinska.pl](http://www.gkielinska.pl)

W numerze wykorzystano obrazy Grażyny Kielńskiej.